

Michał Jagiełło
(1941-2016)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 2(234) Zelów, luty 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Daniela Bacy, Ignacego S. Fiuta, Wojciecha Kawińskiego, Mateusza Pieniżka, Sabiny Kuśmickiej

Andrzej Dębkowski – *Poeta dla dzieci małych i dużych oraz Nowe książki*

Leszek Żuliński – *Gorąca aura doznawania*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności oraz Spóźnione refleksje*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja prawdą artysty*

Stefan Jurkowski – *Choroba większości*

Andrzej Bartyński – *I nagle zrozumiał*

Joanna Friedrich – *Reinkarnacja baroku*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Emil Biela – *Nie tylko aktor*

Magdalena Kapuścińska – *Córy II wojny światowej*

Andrzej Zagdański – *Pocieszka*

Irena Kaczmarczyk – *Co słyszc?*

Jan Owczarek – *Eros z filiżanką kawy*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Michał Jagiełło

1 lutego br. zmarł **Michał Jagiełło**. Urodził się 23 sierpnia 1941 w Janikowicach, wsi położonej na wschód od Krakowa. Ukończył polonistykę na UJ. Poza literaturą jego wielką miłością były góry. W latach 1964-1974 mieszkał w Zakopanem, gdzie od 1972 do 1974 roku był naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR.

W 1975 roku przeniósł się do Warszawy. Pracował w dziale reklamy PIW, w Redakcji Filmowej TVP, kierował też Studium Faktu i Sensacji Telewizji Polskiej (1978-1980). Pisywał m.in. w „Gazecie Krakowskiej”, „Kulturze”, „Literaturze”, „Nowym Wyrazie”, „Nowych Książkach”, „Polityce”.

Od 1966 roku należał do PZPR, przez rok – od 13 XII 1980 – był zastępcą kierownika Wydziału Kultury KC PZPR. Po ogłoszeniu stanu wojennego wystąpił z partii. Współpracował z drugoobiegowym Kwartalnikiem Politycznym „Krytyka”, w latach 1985-1989 był członkiem redakcji miesięcznika „Przegląd Powszechny” wydawanego przez warszawskich jezuitów.



Foto: <https://www.google.pl/search?q=Michał+Jagiełło>

Michał Jagiełło

Jagiełło dorabiał na „robotach wysokościowych”, czyli przy uszczelnianiu budynków z wielkiej płyty, malowaniu farbą ochronną linii wysokiego napięcia, łataniu stromych dachów, konserwacją betonowych filarów nowobudowanego kościoła jezuitów w Warszawie a także przymocowywaniem odklejających się kamiennych płyt okrywających kamienie w Śródmieściu stolicy.

1 listopada 1989 roku na wniosek minister kultury i sztuki Izabeli Cywińskiej Tadeusz Mazowiecki mianował Jagiełłę podsekretarzem stanu w resorcie kultury, którą to funkcję pełnił w kilku kolejnych rządach do października 1997 roku.

Od czerwca 1998 do czerwca 2006 roku kierował Biblioteką Narodową w Warszawie, gdzie zainicjował cykl wystaw „Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie” oraz Salon Pisarzy i Salon Wydawców. Przewodniczył Krajowej Radzie Bibliotecznej i blisko współpracował z siecią bibliotek samorządowych.

Jagiełło był zainteresowany wielokulturowością dawnej i obecnej Polski, mniejszościami narodowymi w kraju oraz współpracą kulturalną szczególnie z Białorusią, Litwą, Słowacją i Ukrainą, czemu dawał wyraz jako wiceminister, dyrektor BN, publicysta i pisarz.

Przez kilkanaście lat prowadził ćwiczenia z przedmiotu „Mniejszości narodowe w Polsce” w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszaw-

skiego. Współpracował także przez czas jakiś z Collegium Civitas w Warszawie.

Opublikował m.in. „Hotel klasy Lux” (1978), „Obsesja” (1978), „Świetlista obręcz” (1979), „Obsesja i inne góry” (1994), „Trójkątna turnia” (1996), „Za granicą gran” (1998), a także wielokrotnie wznowiane „Wołanie w górach” (1979). Wydał także pięć tomików wierszy, ostatni – „Zszywanie – w ucieczce” – w 2014 roku.

Michał Jagiełło został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, litewskim orderem Księcia Giedymina IV stopnia, ukraińskim krzyżem „Za zasługi” III stopnia i „Złotą Plakietką” MSZ Słowacji oraz orderem Św. Marii Magdaleny przyznanym przez Autokefaliczną Polską Cerkiew Prawosławną za opiekę nad zabytkami cerkiewnymi.

Przez społeczność ratowników górskich obdarzony został tytułem Honorowego Członka TOPR. Należał do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Konkursy

XII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Zygmunta Krukowskiego

Konkurs ma charakter otwarty, bez ograniczeń wiekowych i wymagań tematycznych. Do 30 kwietnia 2016 roku należy nadesłać zestaw pięciu wierszy. Utwory nie mogą być publikowane i nagradzane w innych konkursach. Honorowane będą tylko prace nadesłane w jednym pliku tekstowym, w formacie elektronicznym (doc, rtf, txt, odt, pdf) oznaczone godłem na adres e-mailowy: dyrektor@biblioteka.one.pl. Kopertę sygnowaną tym samym godłem i dopiskiem „Konkurs Krukowskiego”, zawierającą następujące dane: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu, e-mail, należy przesyłać Poczta Polska na adres: Miejska Biblioteka Publiczna w Nowej Rudzie, ul. Bohaterów Getta 10, 57-400 Nowa Ruda. Przesłanie prac konkursowych oznacza zgodę autora na nieodpłatne wykorzystanie tekstów w wzmiankowanej antologii, prasie lokalnej bądź na stronie internetowej Organizatora oraz na gromadzenie i przetwarzanie danych osobowych uczestników do potrzeb konkursowych. Zdobywcy nagród w pierwszej edycji konkursu, podlegają karencji w kolejnych latach, mianowicie: I miejsce – trzy lata, II miejsce – dwa lata, trzecie miejsce – rok. Jury po przewodnictwem Karola Maliszewskiego przyzna nagrody w wysokości: I – 900 zł, II – 400 zł, III – 200. Możliwy jest inny podział nagród. Warunkiem otrzymania nagrody jest osobisty udział w imprezie finałowej, w przeciwnym razie nagroda pozostaje wyróżnieniem honorowym, a gratyfikacja pieniężna powiększy sumę nagród w kolejnej edycji. Ponadto przewiduje się wyróżnienia honorowe w postaci druku w antologii towarzyszącej. Wyniki Konkursu zostaną opublikowane w prasie i internecie. Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w sobotę, 9 lipca 2016 roku, podczas XXVI Noworudzkich Spotkań z Poezją. Laureaci zostaną zawiadomieni o terminie wręczenia dwa tygodnie przed uroczystością.

Mateusz Pieniążek

Między niebem a wodą

Staję tam nieco wyprostowany
Patrząc przez okno toalety w dal
Na tle niebieskiego płótna nieba
Stara jabłoń gryzie ciepłą ziemię
Zgniłe owoce mają kolor rdzy
I tylko czekać jak wtopię się w stopy
W ślady idących z wiadrami po wodę

Ciekną od słońca me firanki oczu
Przy studni stygną odbierając chłód
Co się unosi z czeluści podziemnych
Wraz z krystaliczną wodą co od
Zawsze pełnymi wiadrami z dołu aż do góry
Lub z góry w dół, kroplami w dół
Chlupoczący pokarm jako dar dla nieba

Obok zaś leżą zimne, mokre cegły
Ostatni świadek gwarnego domostwa
I pusta buda z miękkim, starym kocem
W obłokach pyłów, sierści, parchów
Psa co już dawno zasilą barwinek

Jeszcze się łąka łąsi do kolanek
Małych dziewczynek co już są babkami
I smród ogniska kłębam pod ganek
Wędruje z zapachem jabłoniowych liści

Wychodzę do słońca i rozbieram dzień
Stawiam oto słowa, drga mej ręki cień
Między nieba ekranem a studzienną wodą
Przelatuje jak ptak ciesząc się urodą
Twojej twarzy tutaj podwieszanej
Między wonią wody, a tym nieboskłonem.

Spotkanie

Przyszedł z wiadrem wody, chlupotem
głębokim
Ramię przechylając na prawo framugę
Żyłę prawej ręki wzdymały się w siniec
Do czasu aż położył na progu to wiadro
W emalii granatowej i z rdzawym
odpryskiem

Stał we mnie wpatrzony jak w krajobraz
znany
Otworzył głupią gębę szeroko, szeroko

Mięsistą wargę zwisłą podnosił do góry
Cały był jak monstrum, a filcaki z błotem
W takim zapatrzeniu, w linoleum wtopił
Nie dały mu podejść tam, gdzie ja czytałem

Wyciągnął z wiadra garścią wiązkę roślin
Jakby chciał krowie dać soczyste trawy
Korytarz się wypełnił złotym światłem
narcyzów.

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (9)

Nie oszczędzał nikogo. Atakował ówczesną medycynę, a zwłaszcza pseudouczonych lekarzy („Lekarz mimo woli” – 1666 i „Chory z urojenia” – 1673), wyśmiewał napuszone mody towarzyskie („Pocieszne wykwintnienie”), drwił z moralności opartej na ślepym posłuszeństwie i niewiedzy („Szkola żon” – 1662), piętnował snobizm i parweniuszostwo („Mieszczanin szlachcicem” – 1670). Jednak stawiając pod pręgierzem religijnych obłudników („Świętoszek” – 1669), najmocniej objawił swój talent do zrażania ludzi wpływowych.

Molier zaprezentował „Świętoszka” Ludwikowi XIV już w 1664 roku, lecz ze względu na dworskie intryki i kontrowersje związane z tematem sztuki, przez pięć lat nie była wystawiana. Jej wystawieniu w 1664 towarzyszyły skandal i protest szlachty, mieszczan i dostojników kościelnych. Sztuka, w treści stanowiąca szyderstwo z hipokryzji, w rzeczywistości mierzyła w istotę etyki i moralności katolickiej, które, głosząc hasła sprzeczne z naturą, sprzyjały szeregowi się dwulicowości i zakłamania.

Bohaterem dzieła jest Tartuffe, pobożniś rozwiązywał asceta, wcielenie obłudy i sprytu, który wykorzystując naiwność Orgona, poczciwego mieszczanina, przejmując rządę w jego domu.

Nakazując innym post, modlitwę, pokorę i skruczę, sam niczego sobie nie odmawia; piętnując przejawy nieprzyzwoitości (zbyt duży dekolt służącej), zaleca się do żony swojego dobroczyńcy.

Zdemaskowany, nie waha się złożyć donosu na Orgona i przejąć jego majątku, który ten, zaślepiony pobożnością świętoszka, nieopatrznie mu zapisał.

Sukcesy Tartuffe’a kończą się z chwilą aresztowania go jako poszukiwanego przestępcy: na mocy nakazu królewskiego. Postać bohatera, który pod zasłoną dewocji dopuszczał się najróżniejszych nadużyć, stała się uniwersalnym symbolem hipokryzji.

Dopiero po wielu odwołaniach, perswazjach i autorskich przeróbkach, arcydzieło ujrzało światło dzienne.

Tak więc powiedzieć można, że uparty charakter Moliera odniósł zwycięstwo. Ale chyba nie jest to do końca prawdziwe twierdzenie; w czasach powszechnie rozpanoszonego konwenansów i obyczajowego oportunisty, masowych zabobonów i religianctwa bez religii, geniusz walczący w pojedynkę z tymi zjawiskami, przypomina Herkulesa, którego oblaży przyzwoite insekty.

Te kąśliwe żyjątka zemściły się na Molierze w sposób okrutny i małostkowy: gdy umierał, ani jeden lekarz nie pofatygował się do niego z ratunkiem. A gdy umarł, żaden ksiądz nie zgodził się na pochowanie w święczonej ziemi; jak na aktora przystało, skończył pod płotem.

Giambattista Vico

Urodził się w 1688 roku w Neapolu. Jego filozoficzne koncepcje powstawały w niesprzyjającej atmosferze mody na zapatrywania Kartezjusza. Kartezjusz dowodził potęgą rozumu, a rozum był dla Vico zgorzkniałym dzieckiem poezji. W pojęciu Kartezjusza mózg był oderwany od ludzkiej historii, a Vico upatrywał w nim napędową siłę społecznych zdarzeń. Wydarzenia miały dla niego sens i wymiar ludzki, zaś dla Kartezjusza działalność człowieka była kierowana przez Opatrzność. Vico twierdził, że świadomość nie można analizować, a Kartezjusz wyrażał przeciwne zdanie.

W wyniku studiów nad historią doszedł do wniosku, że jej rozwojowe procesy następują w stałym rytmie i dzielą się na trzy odrębne stopnie, z których każdy jest konsekwencją poprzedniego [była to dla niego Historia Wieczna], a wszystkie one stanowią o wzajemnie uzupełniającym się kształcie rzeczywistości. Te trzy stadia, te trzy formy cywilizacyjnego i kulturowego istnienia człowieka, to pierwotny, pogański, barbarzyński czas dojrzwiania Narodów, załążkowy czas Bogów i Bohaterów nazwany przez niego porą królowania poezji, tworzenia rzeczywistości abstrakcyjnej, robienia dalekosiężnych planów i fantazjowania na ich temat oraz – Ludzi, okres zrjonalizowanej powagi, statecznego uzdatniania dotychczasowego życia, dominacji rozumu i filozofii.

Wiek Bogów, Herosów i Ludzi miały dla Vico swoją samowystarczalną terażniejszość i indywidualne symbole; języki i sensy.

Człowiek stale poszukujący, lecz nie za często odnajdujący, podwójny, lecz jednolity, wieloraki, lecz prosty, ezoteryczny, lecz materialny, jest dziełem Przyrody. Spirala wzrostu człowieczej świadomości była dla Vico zależna i wyznaczalna poziomem posiadanej przez niego wiedzy. To przez jej mankamenty człowiek nie potrafi przebrnąć, to ona wyznacza ludziom egzystencjalne ograniczenia i wyrządza im poznać krzywdę.

Uważał, że świat poprzez ewolucję, poprzez nieustannie powtarzany łańcuch

usprawnień i parafraz tworzonych epok [nazywany w jego Nauce Nowej – Przewyciężaniem Sprzeczności], nadwątła ich błędy oraz modyfikując się, nanosi poprawki do swojego dalszego istnienia, a razem z przemianami ludzkiego umysłu, następuje przemiana społecznej świadomości.

Lecz nie tylko człowiek jest podwójny. Dwoistą jest też filozofia: dzieli się na gorącą, emocjonalną, idealną, życzeniową, spontaniczną i zgodną z pokładanymi w niej nadziejami, z naszymi wyobrażeniami o filozofii, w której przedstawiony jest świat taki, jakim powinien być, i na drugą, filozofię zimnych spostrzeżeń, opartą na faktach, prezentującą świat takim, jaki jest.

I historia ma postać niejednorodną. Jest historia zwykła, potoczna, znana od lat, zakreślająca ludziom ścisłe ramy krótkiego istnienia, historia teoretycznie prawidłowa i utopijnie słuszna.

Jest też druga: historia właściwa, autentyczna.

Dwa odgałęzienia tej samej nauki łącząc się i przenikając, tworzą jednię: Historię Wieczną, osobliwy szablon, konspekt, kanwę dziejów aktywności narodów. Historia Wieczna, zaproponowana ludziom przez Vico, otwierała przed nimi nieskończoność, oferowała im nie znane i ciągle nowe alternatywy, szanse i przygody z życiem. Historia Wieczna, niezmienna w kształtach, lecz różnorodna w treści, to dla Vico odpowiedź na pytanie o moment narodzin człowieka.

Powiązanie dociekań o historii z rozważaniami o sytuacji, roli i sensie bytu człowieka, pozwoliło mu wyznaczyć nowy, lecz interesujący trakt, zezwoliło kolejnym filozofom znaleźć się w antropologii historii. Tylko historyczny świat społeczny może być ogarnięty ludzkim rozumem, świat ten bowiem stworzony został przez człowieka i tylko on może go pojąć, gdyż tylko on dysponuje odpowiednim narzędziem do poznawania swojego autentyzmu: ontologią.

Jednak skoro ruch czasu historycznego jest ruchem kolistym, po triumfie poezji zaczyna się epizodyczna, przejściowa, lecz nieuchronna klęska powstała z wynikających z niej rozczarowań. O ile pierwsze dwa etapy historii oznaczają jej wzlot, to ostatni prowadzi do upadku, do starzenia się narodów.

Zastanawiając się nad prawdziwym wyjaśnieniem powodu istnienia ludzi doszedł do przekonania, że bez człowieka nie ma historii,

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

a bez historii nie można mówić o człowieku, że historia i człowiek stanowią dla siebie wspólne tło rozumnych działań.

Dzieje człowieka są dla G. Vico recydywą czasu, nauką wynikającą z nieustannych ponowień życia, konkluzją powstałą ze społecznej historii płynącej po zamkniętym obwodzie. Działania człowieka są dla niego wyrazem aktywności ludzkiego rozumu, nie powstają więc w rezultacie decyzji i wyroków boskich.

Historia społeczna, to dla Vico świat natury przeciwstawiony światu przyrody. O ile przyroda nie może być oceniana w kategoriach człowieczych, to poznanie społecznej natury bytu jest w percepcyjnym zasięgu człowieka. Wiedza o stworzeniu świata przyrody jest dla ludzi wiedzą niepoznawalną i opartą na domysłach, natomiast wiedza o stworzeniu świata narodów [nazwana przez Vico teologią społeczną] jest wiedzą nieznaną, lecz zrozumiałą i pewną dla ludzi, wiedzą przewidywalną, wymierną i dostępną, gdyż ścisłą i mądrą jak matematyka.

Zamiary Wszzechstwórcy wobec świata przyrody nie podlegają ludzkim ocenom. Ślepy traf, to dla Vico pojęcie chybotliwe i niewyraźne definicyjnie; w jego Wiecznej Historii nie ma miejsca na interpretacyjną dowolność. Zamiary społeczeństw wobec siebie są jasne, a ich przemiany dają się zbadać.

* * *

Świat wyrażania filozoficznych myśli podzielony jest między Norwidów i Cezarów. Przedstawiane są albo stylem precyzyjnym, albo zagadkowym. Jeden jego biegun, to Hegel, drugi – Vico. Niekonwencjonalne, odkrywcze powiązanie przeciwieństw pozwoliło mu wybrnąć z pułapek zastawionych przez Przypadek i Fatalizm równocześnie. Jak dla Hegla, tak dla niego, rozum był zakładnikiem logiki, a przypadek i zrządzenie losu, nie władają nim.

Jeżeli idee Vico nie zostały zauważone przez jemu współczesnych, a zlekceważone przez przychodzących po nim, to poglądy Hegla, odwrotnie: choć zbieżne z zapatrywaniami jego poprzednika, do teraz mają płomiennych czcicieli, heroldów i epigonów, do teraz znajdują się w centrum niepowierzchnych zainteresowań, a jego zdanie o Historii obdarzonej Rozumem i powiedzenie, że wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne, pobudziło i ośmieliło jego naśladowców, kontynuatorów i reformatorów do tworzenia własnych szkół.

Marcel Proust

Pleasantropowi, Sławomirowi Majewskiemu, czytelnikowi twórczemu, człowiekowi bez przerwy udowadniającemu podobnym do mnie patalachom słowa, że niekiedy warto pisać.

M. Jastrzęb (Owsianko)

Człowiek jeszcze niewiedzący, na czym polega życie wśród innych, jest pewny siebie i swoich zapatrywań, krańcowy w nich i przekonany o słuszności swoich sądów. Pragnie zmieniać, osądzać, ulepszać świat, nie dając mu w zamian nic poza swoim bezkompromisowym sprzeciwem. Celesta odwrotnie: intuicyjny Sokrates, z pokorą i na każdym kroku stwierdza, że wie, jak mało wie. Gdyby ludzie tacy jak Proust mieli swoje Celesty, ilu nieporozumień można by było uniknąć i jak wielu oszczerców straciłoby fach (szkoda, że nie zabrała głosu wcześniej)!

Kiedy weszła do jego życia „na trochę”, wydawało się jej rzeczą naturalną, że zostanie w nim na dłużej, tak jak rzeczą najzupełniej oczywistą było dla niej to, że Marcel żyje niezgodnie z ogólnie przyjętymi zwyczajami: zasypia, gdy inni wstają, wstaje, gdy pozostali kładą się na spoczynek.

Pochodziła ze wsi. Miała 21 lat, gdy do końca zostaje przy Marcelu; dopiero zaczynała rozglądać się po życiu, ale chce je poznać i w nim być. Jest mężatką; jej mąż także pracuje u Prousta: jako osobisty kierowca. Jej dotychczasowe, uregulowane życie, ulega zaburzeniu. Bez wielkiego żalu, spontanicznie i niezauważalnie dla siebie – rezygnuje ze starych nawyków do wczesnego wstawania, z coniedzielnych wypraw do kościoła.

Dziwna fascynacja osobowością pisarza wywiera wpływ na nią tak ogromny, że nie odczuwa tęsknoty za poprzednim życiem, którego się wyrzekła. Dziwna? Zastanawiam się, czy gdyby nie szczęśliwy traf, przypadek nazywający się Celesté Albaret, pisarz znalazłby drugą taką oddaną duszę, drugie tak wierne serce, kobietę zachłanną na życie przy nim, zastępującą mu matkę i będącą dla niego córką jednocześnie? Była to miłość, jaką przeżyć chciałby każdy; powiedzieć o niej „prawdziwa”, to nie rzec o niej niczego.

* * *

Wyobrażam sobie jego ostatnią noc. Pracował do końca; bez przerwy poprawiał, uzupełniał. W kącie łóżka on, po przeciwnej stronie pokoju Celesta, nagle podobna do Franciszki z powieści i do Felicji z czasu Mamy, naraz przypominająca kumoszkę Verudin, niekiedy Jupiena i Saint – Loupa jednocześnie, a mroczna cisza za paryskim oknem tak wysycona wspomnieniami, że gdy na chwilę odrywa wzrok od zapisanych kartek, na szybko zjawia się Balbec, Combray, Wenecja i młoda hrabina de Greffulhe w sukni z glogów.

Był już wycieńczony. Siedziała w pogoto-

wiu, by, gdyby czegoś chciał, mogła mu pomóc. Lecz on już nie chciał niczego. I być może w ten swój odzyskany czas napisał: „...następuje rodzaj przesycenia sprawami, o których myślimy za wiele. Kto wie, czy okres, kiedy widziałem w nim aż tyle tajemnic, nie był prawdziwy.

Ale, że nie są to okresy wiecznotrwałe, nie należy poświęcać zdrowia czy majątku na wyświetlenie tajemnic, które pewnego dnia przestaną nas interesować”.

Bo choć wrażenia istot, ich imion i nazw, są nie oddzielone od siebie, lecz związane z nadanym im kształtem i jakkolwiek bywają sprzężone ze swoimi ocenami, to przecież stanowią zaledwie cząstkę tych, które zostały opisane. Gdyż zmieniając perspektywę i poznając historię opowiedzianą nie poprzez przemyslenia narratora, lecz przetrwoną przez rozwichrzoną mentalność Odety, albo barona Charlusa, nie przez subiektywny pryzmat osobowości Marcela Prousta, tylko przez księcia Błażeja de Guermantes, powstałby obraz odmienny od znanego z powieści, zaś w miejscu Jego imion i Jego zdarzeń, pojawiłyby się nowe...

Nazewnictwo, niezmiennie od lat, razem z przybywaniem nowych objaśnień i podążających w ślad za nim hipotez, traci monumentalną pozycję i jest kwestionowane. Okazuje się podważalne, a jego pozorna, względna nieodwracalność oznacza, że nie ma rzeczy określonych na stałe; u Prousta „zawsze” nie istnieje [tak rozumiem nieskończoność tego dzieła].

* * *

Za młodu bywa na salonach, bo chce zbierać spostrzeżenia u źródeł, osobiście widzieć i wiedzieć. Ze względu na niepospolitą inteligencję, takt, dyskrecję, poprawną oględność ugodowych zapatrywań, jest do nich zapraszany, mile widziany, oczekiwany nawet. Mówi na tematy neutralne, przelotnie fascynujące zebranych, chwilowo ciekawe, aktualnie modne, wytrzymałe na inne sądy i ze smakiem znośne; ma wrodzony wędch do bezkolizyjnego go bycia w zgodzie z pozostałymi uczestnikami przyjęć. Własne, niestandardowe przekonania zostawia na później, odkłada do „książki”.

W niej umieszcza osobiste, często kontrowersyjne zdania, opinie, ośmieszające i nie do przelknięcia w napuszonym gronie miłych gospodarzy salonów, lecz prawdziwe dla niego; w nią pakuje wszystkie te dreyfusowskie treści, jakich wypowiedzenia broniła mu etykieta.

cdn.

Marek Jastrzęb



MNIJ WIĘCEJ (132)



Foto: Zofia Mikula

Gorąca aura doznawania

Coraz częściej dowiadujemy się o debiutach przez przypadek. Sporo ich, więc nikt już chyba nie ogarnia wszystkich ukazujących się tomików. Poszedłem ja sobie całkiem niedawno do kawiarni „Do widzenia, do jutra” na Saskiej Kępie, gdzie Rafał Czachorowski prezentował dwójkę poetów. Dorotę Nowak, która już kilka miesięcy temu wydała swój nowy, drugi tomik pt. „Opium” (recenzowałem go pod koniec listopada na *Latarni Morskiej*) oraz Daniela Bacę – debiutanta. Ten 32-letni autor przyjechał do nas z tomikiem pt. „9 złamań”.

LESZEK ŻULIŃSKI

A więc poznałem nowego poetę. I wracając do domu pomyślałem sobie, że warto o nim kilka słów napisać. Cytuję biogram z okładki: *Absolwent filologii polskiej Wydziału Humanistycznego UWM w Olsztynie. Gitarzysta i założyciel autorskiego projektu muzycznego Studio Listopad. Po wydaniu pierwszego albumu „drobne cuda zajmują czas” (2011). Występuje na kameralnych scenach w kraju. Z zamiłowania fotograf i realizator dźwięku. Mieszka w Ostródzie. Domniemam, że ten album był muzyczny, nie literacki, więc potraktujmy autora jako literackiego debiutanta.*

Baca zrobił na mnie dobre wrażenie. Widać było, że jest pasjonatem muzyki i poezji – jakoś chciał te pasje opowiedzieć i robił to z przekonaniem, z emanującym zaangażowaniem. Jeszcze jeden „straceniec”, który żyje w gorączce artystycznej. Ale my, odbiorcy, takich przede wszystkim cenimy.

Już pierwszy wiersz w tym tomiku sygnalizuje, że paplaniny nie będzie. Czytam: *między Bogiem, a tym, co istnieje / różnic nie ma. / dławiąc się nienasyceciem / często uciekam / w*

*maratony złudnych gier. // wierząc, że żyję w światku nieprzetłumaczalnym / na inną prawdę, światło, wolność, / wobec wielkiego planu nie zawsze jestem / na Tak lub na Nie. I tak będzie do końca. O co mi chodzi? Ano mamy do czynienia z „poezją treści”, a nie z „poezją westchnień”. Baca wgrzyza się – wiersz za wierszem – we własną konstytucję istnienia i postrzegania – chce świat zrozumieć, a siebie zlokalizować w tym galimatiasie. Następny wiersz – po tym wyżej zacytowanym fragmencie – przynosi taką konstatację: *nie dotykam. dotyczę.* Niby gra słów, ale taki „lingwizm” to przecież ważkie, ontologiczne i epistemologiczne rozpoznanie.*

Zaraz potem, w kolejnym wierszu, taka strofa: *spotkaliśmy się w połowie. / niektórzy nazywają to problemem, / głębokim i poważnym lub utajonym / stanem braku poznania.* Ale cały wiersz poprzedzony jest motto z Witkacego: *Kryterium prawdy jest tylko w swobodnym, niezasugerowanym skojarzeniem wyobrażeń.* Ładna gra sensów! Zderzająca racjonalizm z subiektywizmem.

Baca znakomicie wyczuwa paradoksy i nonsensy życia. Bywa sarkastyczny. W wierszu pt. *Jestem* m.in. pisze: *najwyższy czas, by przybrać / jakąś formę, / nie być tylko treścią.* Tu idzie przecież o sens ekspresji, o wybór osobowości, o dobiecie się do sedna własnego, niepowtarzalnego ego.

Tak czytam sobie te wiersze i niemal z każdego chciałbym coś zacytować. Tom podzielony jest na sześć rozdziałków. Małych i obszerniejszych. Z biegiem stron czasami natykamy się na krztynę liryzmu. To w ogóle istotne pytanie, czy poeta Baca należy do kategorii *doctus* czy *natus*? Czy częściej „mówi wprost” (bo mówi), czy metaforyzuje? Nie da się tego po aptekarsku ustalić. Pan Daniel ma sporą zdolność do balansowania między konkretem a marzeniem. Czy powinien się zdecydować? Ależ nie! Ten melanz światobrazu to prawda o nas wszystkich. Tu jednak mamy do czynienia z „nową dykcją”. Jak wiadomo – o nią najtrudniej. Jeśli ona udała się debiutantowi – to niezły start.

To udało się Autorowi. Fenomen polega na tym, że Baca nie jest awangardystą. W zasadzie ta „nowa dykcja” trzyma się pewnego kanonu. Jakiego? A bo ja wiem – „Bacowego” zapewne. W całości przytoczę wiersz pt. *znaczenie: dobre to i pożądane, by mnie i ciebie, / nasze słowa i ślady rąk naszych, ominęła chrematonimia. / to nie przelewki; trafić w sedno / i nie domagać się zrozumienia. / w wielogłosie i pogłosie / znaleźć punkt odniesienia. / chcę być twoim pierwszym i kolejnym / czytaniem. ten cud leży niewidoczny, / a jest jak słońce, jak na dłoni. / nie ma czarnych myśli ani wizji. / to rozmowa do białego rana, / albo szara cisza, kiedy jesteś / sama. u mnie podobno szaro. // wymknijmy się teraz. / nie musimy daleko odchodzić. / wystarczą nam salwy świetliste / lampy naftowej, słowiańskie / boginie z biodrami w bursztynie / i lut spokoju.*

/ jeśli nie porozmawiamy, / to chociaż popatrzymy na siebie / i piszmy.

W tych doznanych lub wyimaginowanych sytuacjach jest klimat. Powtarzam: nie ma tu żadnych wygibasów z językiem, nie ma pogoni za „nową formą”. Niemniej jednak ja czuję tę formę i określiłbym ją jako „osobną”. Baca znakomicie gra sytuacjami i nastrojami, opowiada zdarzenia... Niby błahe, jednak jakoś przykuwające uwagę. Myślę, że bohaterką tych wiersz jest m.in. aura. Ciekawe i to, że mamy tu do czynienia z przekuwaniem „behavioru” w emocjonalną refleksję. We wmyśliwanie się w drobiazgi, które jednak jakoś nas konstytuują. A gdy nosimy w sobie „bakcyła poezji” to wiemy, że on drobiazgowi nie przepuści.

Bywają momenty, gdy Baca staje się kontestacyjny. Oto wiersz pt. *w mieście Edo nie ma jabłek: codzienne rekwiizyty bilon na papierosy / patyczki higieniczne klucze do domu // klucze do auta buty to wszystko chuja / warte tej wolności którą mam nie rozumiem // ani teraz ani wtedy kiedy nadejdzie ruski / miesiąc nie mam wątpliwości przyjaciół // także tych których poznałem na dobre / i w biedzie mógłbym być tam gdzie połowa // tego miasta zmywa naczynia i niańczy / cudze dzieci zostawić wyjechać może // czasem wrócić za duchem czasu / za chlebem zatęsknić i za jabłkami // być głodnym.*

Tyle, co mi się udało, to zasygnalizować wam, że to debiut z ikrą. I bardzo wyraziście dowodzący skąd biorą się wiersze. Na wszelki wypadek podpowiem po lekturze Daniela Bacę: z życia „sejsmograficznego”, czyli takiego, które doznaje abstrakcji szczegółu i tajemnicy sensu. No!

Daniel Baca, „9 złamań”. Ośrodek Stowarzyszenia Artystów, Ostróda 2015, s. 40.

Daniel Baca

Jestem

najwyższy czas, by przybrać
jakąś formę,
nie być tylko treścią

dom na kredyt jeszcze nie kusi.
w wynajętym spłacam dług
za brak własnego.
nic tu moje. Ja tym bardziej.

Biegnij, Daniel!, Biegnij!
zaraz, zaraz.
nie stać mnie na wiersze,
więc piszę to, co piszę.
wciąż pochłania praca,
ta najgorsza,
nie nad sobą.

Ignacy S. Fiut

Walenty i jego wiolonczela

Katarzynie Widlińskiej

jak każdy kochanek
nie szanował prawa stanowionego
kochał kochanków miłości
swą biskupią narzeczoną tak urzekł
ogniem i kadzidłem uczucia,
że odzyskała wzrok i zobaczyła,
co kocha
nie zdołał wziąć ją za talię
jako swoją wiolonczelę
pociągnąć kalafonią smyczek
– biedaczysko
pamiętał dozgonnie, że
nie kocha się tu i teraz,
ale zawsze i wszędzie

Do Walentynki z Nowego Yorku

Izbie Nowojskiej

nie przystrajaj
rudą fryzurą
swojego kamiennego
posągu
masz przecież tytanowe
biodra, uda i pośladki
nie zapraszaj mnie
do seksualnych wojen
gwiezdnych
bądź łaskawa dla
skołatane go ducha
i ciała

przestań mówić
o swoich uczuciach
do mnie
hipertekstem

Wojciech Kawiński

Spokój pozorny

*Dedykacja dla D. Ch. (1948-1996)**

światło obce jak obrazek
dzień jak złoty kłosa
tkanki nasze nie-posłuszne
rzeki zasypiane

w domu spokój (stołu) stół
milczący jak wół
który cierpi bo cierpliwy
i zmęczony ale żywy

był się rodzi nie-skończony
rozsiany na wszystkie strony
jego gwiazda matowieje

wskrzesza bunt oraz nadzieję
Blisko nisko w strefie skażeń
gubi się pamięci głos
jesteś zapisana w lustrze
trafione przez kamień

oczy wnet się zamkną same
jako zbędne porównanie
głos zapadnie (się) sam w siebie
jaskółka zaniknie w niebie

powtórzone będą twarze
spadnie w rzekę srebrny most
twój wieloimienny uśmiech
moją obecność odkłamię

*) pamięci Doroty Chróściewskiej

Słuch

*Dedykacja dla M.O. (1947-1997)**

cisza w ciszy
świetlna cisza

którą w mysim piasku
słychać;

kęgi zorzy dość
wzorzyste

na tle puszczy dnia bez-
listnej;

małe światło
w twoim oku

szron październikowy
wokół;
senne złoża buntu
w kraju

nikt się do nich
nie przyznaje;
nawet twoja dusza
dziś

skryta w jednej
z licznych ciszy...

*) pamięci Marka Obarskiego

Jabłonie, grusze, palmy

czarna sól, białej ziemi
i my, nie-wymienieni

z imienia, z przezwiska
także w na-powietrznych dyskach;

obce ciała, obce obecności
w trakcie podróży naj-prostszych

do raj, złudzeń wszelkich
i bez-rymowych przesądów;

będzie potrzebne może możliwości
gdy brakuje, stałego ładu

i takiej kategorii przestrzeni
w której się pięknie miniemy

roztapiając;
jakby się nic nie stało

Hieroglify

chińskie pismo
prosty sposób

przejsć przez kręte
ścieżki losu

znak po znaku
krok po kroku

widząc co jest w nas
i wokół

* * *

czas nie jest gołębiem
ani strzałą
ani przywidzeniem

leci dołem górą
skojarzoną z przestrzenią chmurą
światła wieloleciem

dotyka twojej mowy krwi
gęstniejącej coraz bardziej milczącej

nie umie wyjść poza siebie
jego ślina tężeje chłodem

ma duszę z metalu i cementu
milionokrotny wiatr we włosach
i nicość nie do przekupienia

pamięć mu topnieje
do jednej setnej sekundy
błędu

mówi do ludzi a słyszy oddech rozwiany
patrzy jakby dotykał niewidzialnej rany
zamyka drzwi
na jeden z obcych dni

na ślepo
wybiera ten z pretekstów
który nie waży na szali znaków

ale czeka



Sabina Kuśmicka

Pragnienia

Celebrowali chwilę
między dotykiem a podwiązką.
Modliła się
by nikt nie wyrwał jej ze szponów
namiętności.

Bała się powiedzieć nawet sobie
że lubi godzinę duchów
każdą noc z ciszą
kiedy rozbierał ją wzrokiem
spijał wilgoć z czerwonej szminki
ośmielał stopy i zagłębienie ud.
Czekała na to co dalej...
Wędrował niecierpliwie
nieznaną ścieżką znaczył ślad
dreszczykiem emocji w rozgrzanej pościeli.

Porywy

Czerwone i winne
cierpkie i święte.

Całe w pąsach i różach
czekają na obietnicę

bez słów.

Już się nie wzbraniam

Na jedną noc
ożyła
zmysłowa sukienka
na pustym wieszaku.

Szukał
po omacku
wygładził

dotykiem
poskromił
zamek.

Za chwilę
wszystko stało się
jasne.

A jeśli zechcesz, zostanę

Wszystko mi jedno
czerwień czy biel
złamane zasady jak paznokiec.

Znaki zapytania i wyrzucone serce
odwrócony los.

Rozsądek zamyka drzwi kamienicy
intuicja uświadamia pragnienia.

Obojętność głucha jak w kole

syci się coraz większym głodem.

Sny śpią na gołej ziemi.

Ostatnia nuta samotności to odpowiedni
moment
by zdjąć rękawiczki i odejść.

Mocha latte

Wysłałem z pozornego świata
do rzeczywistości której pragnę.

Pierwsze samotne noce nie były łatwe...

Zaparzam kawę z odrobiną cukru
nakrywam stół
do kolacji

dla dwojga.

Nie potrzebuję słów

Wyobrażam sobie jak drżysz
choć wydajesz się
nieobecny.

Wszystko czego dziś chcę
jest teraz bez znaczenia
(to jedynie skorupy).

Jeśli nie dopuszczę do siebie miłości
będę nieszczęśliwa.

Przelotna pieśń wyzwała
żar
i winę

gdy serce poskromię rozumem.

Kocha?

Znam twoje myśli
nie znam twojego ciała.

Powiedz że jesteś
że istnieje życie
tożsamość
cztery pory roku
treść i trucizna.

Odpowiedz na moją samotność
na moje wątpliwości

odpowiedz na moje pytanie
które stale powraca.

Właśnie nadeszła ta chwila

Idzie fala.

Za horyzontem widać światło i niebo nad

nami.

Koło fortuny jak ziemia się obraca.

Cała puła jest w zmiennej grze
tylko dla dorosłych.

Weźmiemy wszystko

albo

nic.

Maj

W bliskości bioder
w ukłonie nocy
spragnione usta
piją herbatą miłość.

Powróciłam do świata żywych

Z wypisanym cierpieniem na twarzy
zlewam się bez reszty w jedno
z milczeniem kolorów.

Tętni gorąca krew.

Umrzeć nie dane mi będzie
i być w Copacabana.

Widziałam wczoraj parę kochanków

trzymali się za ręce
jak splecione gałęzie brzozy.

Stary, podrobiony portret

Kobieta z czerwoną walizką
pełną wrażeń

na przekór nieszczęściu zakłada
amulet z muszli
od pustych losów
wymówek i gorzkich słów

pożegnań na peronie
śladów złożonej miłości
przebranych
pomyłek

i nocy bez snu.

Układa pasjansy co nie wychodzą
jak dramat i chwiejne domki z kart.

Spóźniona o kilka lat



Magdalena Kapuścińska

Córy II wojny światowej

Ciche bohaterki

Wiele mówi się i pisze na temat bohaterstwa mężczyzn biorących udział w I i II wojnie światowej, powstaniach i rewolucjach. Nadal niestety zbyt mało o bohaterskim udziale kobiet w tych wydarzeniach. A przecież ktoś wydaje na świat kolejne pokolenia. Matki, żony, kochanki czekające na powrót swoich mężczyzn, przeżywające swoje własne małe i wielkie dramaty. Często zostawały bez żadnej opieki, rzucone na pastwę losu. Mimo iż ich udział z wojnie był czasami bierny wpływał na los i decyzje żołnierzy. Były też kobiety, które zostały wplątane w całe to zło i stawały się głównymi bohaterkami dramatu, jaki się rozgrywał w obozach, transportach i gettach. Były i kobiety, które czynnie walczyły na frontach i w konspiracjach. Zazwyczaj to pracownice poczty, urzędów i szpitali, lecz nie tylko. Mimo że w dzisiejszych czasach telewizja i internet wręcz zakrzykiwane są falą informacji i nagonką do patriotyzmu, wciąż panuje gloryfikacja męskiej płci bohaterów wojennych, którzy najgłośniej odcisnęli swoje piętno na kartach historii Polski. A co z cichymi bohaterkami, mistrzyniami „drugiego” planu w spódnicach? To było retoryczne pytanie, bo niestety niektóre schematy ciężko złamać. Jasną jest sprawa, że kobiety „odwaliły” robotę białego murzyna, kiedy to mężczyźni, którzy nimi dowodzili (bądź tak im się zdawało), wypinają piersi po ordery. Gdzie bylibyśmy dziś, czym byłaby Polska i czy by istniała, gdyby nie kobiety i dziewczęta? Trzeba powiedzieć jasno i otwarcie – gdyby nie odwaga polskich kobiet Polska byłaby w czarnej dziurze do dzisiaj. Może dziwnie to brzmi, ale ich męstwo było wszechobecne. Podejmowały batalię o przetrwanie za drutami hitlerowskich obozów zagłady, służyły pomocą i opieką lekarską żołnierzom i leśnym oddziałom, toczyły walkę o duszę narodu, nie pozwalając zapomnieć o tym, co najważniejsze – o poczuciu własnej godności; walczyły z bronią w ręku zarówno w regularnych formacjach na Wschodzie i Zachodzie Europy, jak i w oddziałach partyzanckich w kraju. Często z daleka od zgiełku pól bitewnych podejmowały się niebezpiecznych zadań, wymagających nieraz większej siły woli niż brawurowy atak z karabinem i granatem w ręku. Najczęściej przewoziły paczki podziemnej prasy i meldunki bojowe, dźwigały torby sanitarne.

Gdy podczas wojny na front wysłano młodych mężczyzn, problemem było zapewnienie fabrykom, stoczniom i wszystkim

innym zakładom potrzebnych rąk do pracy. Tym bardziej, że wprawiona w ruch machina wojenna potrzebowała nieustannego uzupełniania zapasów. Fabryki uzbrojenia musiały pracować na pełnych obrotach, aby sprzęt i amunicja docierały na czas na linię frontu. Tutaj właśnie z pomocą przysły kobiety, to praca ich rąk pozwalała żołnierzom na skuteczną walkę. Jest to zapomniana i niedoceniana rola, bo przecież za pracę w fabryce nikt medalu nie rozdaje. A to właśnie od sprzętu produkowanego w tych wszystkich zakładach, tak często zależało życie setek tysięcy żołnierzy.

Kobiety były łączniczkami, kolporterkami i opiekunkami, opatrywały rannych, karmiły i ukrywały działaczy ruchu oporu. Były sanitariuszkami, lekarzami, radiotelegrafistkami, tłumaczkami, bibliotekarkami. Były także oficerami i dowódcami, żołnierzami z wojskowymi specjalnościami, oficerami politycznymi i oświatowymi, były pilotami i spadochroniarkami. Realizowały więc te same, a w rzeczywistości szersze zadania niż mężczyźni. Na równi z nimi pokonywały, choć ze znacznie większym wysiłkiem, trudy wojenne, poznawały zasady walki, pokonywały strach przed śmiercią. Wszystko po to, by spełnić swój żołnierski i patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny.

W czasie okupacji niemieckiej kobiety polskie wraz z całym społeczeństwem dzieliły los narodu, przebywały we wszystkich hitlerowskich obozach zagłady. Do obozów kierowano zarówno kobiety będące działaczkami politycznymi, oświatowymi, uczestniczkami ruchu oporu, jak również robotnice, gospodynie domowe, studentki, uczennice. Wszyscy badacze problemu są zgodnego zdania, że Polki jako więźniarki polityczne nie poddawały się okrutnemu terrorowi i zgotowanemu im warunkom egzystencji. Ciężki los przyjmowały godnie i z honorem. Poddawane wielokrotnym przesłuchaniom, mającym na celu uzyskanie informacji o ruchu oporu, wybierały śmierć, by nie ujawnić współpracowników. Były bardzo solidarne, spiesząc w miarę swych możliwości z pomocą innym.

Organizowały życie oświatowe i kulturalne, na ile warunki w niektórych obozach na to pozwalały, mając z racji pełnionych różnych obowiązków dostęp do tajemnic obozowych. A poczta? Przecież regularne funkcjonowanie poczty konspiracyjnej było niemal wyłącznie zasługą kobiet. Oddały też olbrzymie usługi jako kurierki. W partyzanckich oddziałach bojowych kobiety pracujące jako łączniczki działały wyjątkowo sprawnie. W łączności radiotelegraficznej szyfrowały depeche, do-

starczały do radiostacji, transportowały sprzęt do miejsca i z miejsca jej pracy, prowadziły obserwację terenu w okolicy pracującej radiostacji i alarmowały obsługę w przypadku zagrożenia, często same nadawały i odbierały radiogramy. Bez względu na sytuację przenosiły rozkazy i meldunki, docierały do oddziałów odciętych lub okrążonych, przekradały się przez tereny zajęte lub ostrzeliwane przez oddziały niemieckie. Docierały tam, gdzie były kierowane. Kobiety były także żołnierzami oddziałów specjalnych, przeznaczonych do wykonywania zadań.

Zapisały także wiele chlubnych kart w historii walki o kulturę polską, oświatę, a więc w tej sferze, która przez okupanta hitlerowskiego tępiąca była ze szczególną zacieklnością i premedytacją. Rola kobiet w tej dziedzinie była wyjątkowa. Udział kobiet i dziewcząt w wydawaniu tajnej prasy był – podobnie jak w innych formach ruchu – bardzo duży. Do głównych zadań, jakie wykonywały kobiety należały: redagowanie, drukowanie i kolportaż. Praca kolporterki, zwłaszcza w okresie szalejących obław i rewizji ulicznych, była niezwykle niebezpieczna.

Bardzo często kobiety wojenne zaopatrzone w truciznę, wołały śmierć aniżeli zdradę. Dzięki ofiarnej służbie kolporterki w ciągu całej okupacji hitlerowskiej nie został zdekonspirowany żaden z 200 lokali, gdzie dostarczano hurtem konspiracyjne wydawnictwa.

Zdominowana przez kobiety była w okresie wojny polska służba zdrowia. Już w czasie przygotowań do wojny zarysowała się szczególna ich rola. Powołanie do wojska dużej liczby mężczyzn – lekarzy i farmaceutów – spowodowało konieczność obsadzenia cywilnych placówek zdrowia przez kobiety. To one bardzo poważnie zasiły etatową służbę zdrowia, współpracowały w improvisowaniu nowych szpitali, często samorzutnie udzielały pomocy rannym żołnierzom i pomagały w ich ewakuacji. Ciągłe przewozy i przemarsze wojsk znacznie zwiększyły rolę punktów sanitarno-odżywczych, zachodziła konieczność tworzenia i obsługiwania punktów medycznych w miejscach dużych zgromadzeń, zwłaszcza znajdujących się w okrężeniu. Kobiety spieszyły się też z pomocą jeńcom wojennym w przejętych przez Niemców szpitalach polowych czy w doraźnie organizowanych obozach jenieckich. Tu pomoc kobiet wykraczała poza służbę sanitarną. Stawały się one często pierwszymi łączniczkami między żołnierzami a ich rodzinami.

Kobiety odgrywały ważną rolę podczas II wojny światowej, zarówno w wojsku jak i

cywilu. Nie tylko oddały swoich synów, mężów, ojców, braci, lecz poświęciły swój czas, energię, a nierazkdo życie. Polskich kobiet bał się nawet Hitler o czym świadczy fakt, że w listopadzie 1944 roku wydał oficjalny rozkaz zakazujący szkolenia kobiet w obsłudze broni. Dziś kiedy myślimy o żonach żołnierzy walczących na frontach II wojny światowej, przed oczami większości z nas pojawia się obraz kobiety, z utęsknieniem wypatrującej w oknie swojego wybranka. Tymczasem rzeczywistość była zupełnie inna. Rola jaką odegrały kobiety w tamtym okresie, była przynajmniej tak samo ważna jak walka z wrogiem w Europie, Afryce, czy na Dalekim Wschodzie.

Po wojnie wróciły do domów, zajęły się odszukiwaniem członków rodziny, nie oglądając się na orderly podejmowały na różnych stanowiskach trud pracy cywilnej, wznosząc wraz z całym narodem gmach ówczesnej Polski Ludowej.

A dzisiaj kobiety dalej dzielnie walczą na miłosnym froncie, giną pod stertą garów w domowych obozach zagłady i walczą z represjami faszystów, z którymi łączy ich najczęściej wspólny kredyt hipoteczny lub zobowiązania wobec wspólnych aliantów (dzieci).

Kobiety, czas by świat usłyszał o waszym cichym, niedocenionym aczkolwiek niezbędnym bohaterstwie.

Kobiety z „puff” – demoniczny seks w piekle wojny

W nazistowskich obozach koncentracyjnych funkcjonowały domy publiczne zakładane przez Niemców w ramach systemu motywacyjnego dla więźniów. Do niedawna był to temat tabu, o którym nie wolno było głośno mówić. Pracowały w nim Polki i Niemki, które zgłaszały się na ochotnika. Dla kobiet znajdujących się na granicy śmierci głodowej, wyczerpanych z powodu katorżniczej pracy, prostytucja była sposobem na przetrwanie. Kilkanaście kobiet obsługiwało do 150 klientów w ciągu kilku godzin. Po wojnie były niczym ludzkie wraki, mimo to zostawiono je bez pomocy...

W obozie Auschwitz I dom publiczny, w którym miało pracować około 20 kobiet, założono w sierpniu 1943 roku. Mieścił się w bloku 24 – na parterze znajdowała się kancelaria obozowa, zaraz na lewo od bramy głównej. Był to pierwszy budynek po lewej stronie za bramą z napisem *Arbeit macht frei*. W listopadzie tego samego roku stworzono kolejny, z personelem mniejszym o połowę, w obozie Auschwitz III (Monowitz). Ulokowany został w odrębnym, otoczonym siatką baraku. Głoszono propagandę, że władze SS dokonały tego w trosce o więźniów i ich zdrowie psychiczne. Zachęcano wręcz,

by więźniowie zapisywali się do kolejki. Tak, więc „Instytucja Puffu” (burdelu) cieszyła się specjalnymi względami komendatury, która fundując więźniom owy przybytek miłości kierowała się osobliwymi celami.

Kiedy ogłaszano, że poszukują chętnych do lekkiej pracy, kobiety same się zgłaszały nie wiedząc, co będą robić. Po zbadaniu przez lekarza-esesmana były informowane o charakterze pracy i konieczności wykonania zabiegu, który pozbawi je możliwości macierzyństwa. Na co więźniarka obozu Auschwitz-Birkenau Zofia Bator-Stępień (nr obozowy 37 255) odpowiedziała: *A co tam matką, matką. Ja chcę chleba.*

Według oświadczeń więźniarek, lekarzy i świadków kobiety nie były zmuszane, zgłaszały się ochotniczo. Oddawały się „dobrowolnie” cokolwiek to znaczyło. Natomiast Niemki same tam chętnie szły. Uważały dom publiczny za szczyt szczęścia. Komendant obozu dostarczał im szminek, więc malowały się. Do Polek odnosiły się z nienawiścią, nie mówiły nigdy inaczej, tylko „die Polacken” (Polaczki).

System motywacyjny dla więźniów obozów koncentracyjnych, potocznie nazywany Frauen, Fressen, Freiheit (kobiety, żarcie, wolność), wszedł w życie w maju 1943 roku. Dla osiągnięcia szczególnie wysokiej „wydajności” pracy przewidziano specjalne nagrody: – prawo do częstszej korespondencji, dodatki żywnościowe, możliwość nabycia papierosów, a nawet zwolnienia z obozu (tylko w przypadku więźniów narodowości niemieckiej).

Najbardziej pracowitym i posłusznym więźniom przysługiwały dwie reichsmarki, bony na wizytę w obozowym domu publicznym. *Jeśli któryś z więźniów otrzymał w nagrodę bon do domu publicznego, to musiał się zgłosić, bo w przeciwnym razie szukano go, ściągano do bloku 24 (przy okazji mógł być pobity), aby odbył swoją powinność.* (Adam Jerzy Brandhuber).

Sonderbau (specjalnego przeznaczenia), tak oficjalnie nazywano domy publiczne w obozach. Określenie to przywołuje na myśl inne komanda specjalne, sonderkommando – zespoły więźniów obsługujących krematoria.

Każda mieszkanka miała obowiązek pracowania latem czterech seansów dziennie, a zimą pięciu. Chętni ustawiali się na korytarzu, potem na rozkaz wchodzili według kolejności do poszczególnych pomieszczeń. Esesmani przez otwory w drzwiach pilnowali, czy więźniowie nie łamią regulaminu, określającego zdrowe pozycje stosunku, dbali o higienę i czystość rasową.

Ina tym odcinku Niemcy przestrzegali przepisów rasowych. Swoich obywateli zmuszali do obcowania z tłustymi niemieckimi blondynkami, a ciemne i zgrabne dziewczęta zostawiano do dyspozycji obywateli ras niższych. (Władysław Fejkiel).

Wszystkie atrakcje lagrowe dostępne są tylko Aryjczykom. (Krystyna Witek, nr obozowy 6820, fragment grypsu).

Dom publiczny otwarty był w dni po-

wszednie po wieczornym apelu. Kobiety, które tam obsługiwały mężczyzn były młode, miały ufryzowane włosy, oczy i rzęsy pomalowane henną, ubrane w koronki i pantofle na wysokich obcasach. Nonszalancko ruszały biodrami. Malowana kobieta w obozie była niezwykłym zjawiskiem zarówno dla mężczyzn jak i kobiet. Odbierano ją, jako przybysza z wolności. Pracowniczkę domów publicznych wyprowadzano na spacer, kiedy inni więźniowie wracali po wielogodzinnej pracy w zabójczych warunkach. Nosiły cywilne sukienki i bieliznę (z walizek odebranych na rampie przyjezdnym z transportów), myły się we własnej łazience, mogły się malować, miały stałą opiekę lekarską, żywiono je według norm esesmańskich (tak zwaną „kurwią zupą”). Zamknięte w bloku, nie mogły brać udziału w systemie wymiany towarów i przysług. Jedyny kontakt ze światem stanowili odwiedzający dom publiczny mężczyźni, zazwyczaj więźniowie funkcyjni, w większości Niemcy. Dzięki przywilejom i niewielkiemu obciążeniu inną pracą, a może jeszcze bardziej dzięki nieoficjalnym kontaktom z przedstawicielami władzy, kobiety z domu publicznego miały duże szanse na przeżycie obozu. Zasadą, której nigdy nie złamano był absolutny zakaz wstępu dla Żydów.

Pracowniczkę PUFF-u musiały codziennie zmieniać pokoje. Esesmani dbali, by więźniowie nie nawiązywali ze sobą bliższego kontaktu, a co gorsza zakochali się w sobie. Każdy więzień wchodząc na blok podlegał pobieżnej dezynfekcji (przed i po opuszczeniu pokoju), a następnie dostawał od dyżurującego esesmana karteczkę z numerem pokoju, po czym udawał się na piętro. Oczywiście czas był ściśle ograniczony. 15-20 minut (na temat jego długości, również są rozbieżne relacje w zależności od obozu), po czym rozlegał się dzwonek i więzień musiał opuścić pokój. Po kilku miesiącach w domu publicznym przynajmniej części pracownic przydzielano stanowiska funkcyjnych w obozie kobiecym.

W nocy, po zakończeniu oficjalnego czasu pracy, odbywały się niekontrolowane, zakazane wizyty. Więźniowie, często ci sami, którzy wcześniej legalnie korzystali z domu publicznego, krążyli pod budynkiem z prezentami (jedzeniem, intymną garderobą, kosztownościami) dla wybranych kobiet, które na piętro wciągały ich na sznurach.

Więźniarki w domu publicznym, mimo ponawianych i surowych zakazów, odwiedzali też członkowie niemieckiej załogi obozu. Bywały, więc one bardzo dobrze poinformowane. Ze wspomnień jednego z byłych więźniów można wnioskować, że miały duże zasługi dla obozowego ruchu oporu. W burdelu można się było dowiedzieć o faktycznej sytuacji Niemców na froncie, a także o tajnych posunięciach komendatury na terenie obozu.

Dokończenie na stronie 12)

Andrzej Zagdański

Pocieszka (fragment)

Miasteczko

Historia ta zdarzyć się mogła praktycznie wszędzie pod każdą szerokością geograficzną – ale dlaczego zdarzyła się właśnie w Płońsku? Właśnie, dlaczego? Małe, urokliwe miasteczko, leżące niedaleko Warszawy... – Płońsk – czyli gdzieś w Polsce.

Małe miasteczko – ale mające swe wielkie dziedzictwo historyczne, którego może pozazdrościć niejedno „małe urokliwe miasteczko” leżące obok jakiejś większej lokalnej metropolii Poznania, Gdańska, Krakowa...

Historia, którą chcemy opowiedzieć zdarzyć się mogła i pewnie się zdarzyła lub właśnie się zdarza – i trwa...

Obchody 600-lecia Płońska to... Jest to jubileusz!

Nieczęsto się zdarza w dorobku historycznym miast, a zwłaszcza miasteczek, które jakby się w dzisiejszych czasach troszkę wyludniały z młodzieży goniącej za poszukiwaniem lepszego startu w życie, akademickiej wiedzy, szansy zrobienia kariery... a może zrozumienia siebie... a może i w ogóle sensu życia.

Jubileusz gromadził w czasie tygodnia obchodów nie tylko tych, którzy pozostali tu na miejscu i budowali swe życie w trudnej rzeczywistości – ale także i tych, którzy wyfrunęli z tego „mazowieckiego gniazda”.

I tak właśnie ten jubileusz stał się poniekąd pretekstem, że ktoś kogoś dawno niewidzianego spotkał – ktoś kogoś na swej drodze napotkał – a już sam fakt, że dawni koledzy ze szkolnej ławy ponownie się spotkali był wydarzeniem wspaniałym i ciekawym... i było co wspominać...

W tym czasie Płońsk stał się tym czarownym miejscem, gdzie zdarzyć się mogło praktycznie wszystko. Wspaniałe dobro – jak i okrutne zło. Zdarzyło się jednak wiele dobra, które obecnie tak bardzo jest potrzebne ludziom pozbawionym nadziei.

Nadziei na teraźniejszość i przyszłość... Nadziei na wiarę i nadzieję... Nadziei na uczucie – uczucie, które uskrzydla...

Zdarzyło się pewnie dlatego, że wszędzie są ludzie, którzy chcą kochać, być kochani – obdarzać miłością i miłością być obdarowywani!

Poza tym Płońsk, jak sama nazwa wskazuje jest miejscem gdzie można zapłonąć mocno i żarliwie... i to uczuciem każdym z możliwych: miłości, nienawiści, smutku, rozterki itp. itd.

Pierwsze z nich wzniosłe, miłe, utęsknione, wyczekane, wymarzone... czekało... czekało... aż... zaczęło się... Oj, zaczęło się, zaczęło!

A jak? A, no zwyczajnie...

Pojawił się On – pojawiła się Ona...

Ot, tak przypadkiem coś tego dnia ciągnęło ich do Miejskiego Centrum Kultury, gdzie miała się odbyć Uroczysta Sesja Rady Miasta – potem koncert RR (Rycha Rynkowskiego – tak o Nim mówili mieszkańcy – niby żartobliwie...) – a na koniec bankiet dla VIP-ów ...

Ona, czyli Karina poszła tam ze zwykłej ciekawości.

Ojciec jej mówił, że dostał zaproszenie z Miejskiego Centrum Kultury, ale nie pójdzie bo... woli inne „artystyczne spotkania” w innym kręgu ...

– Córeczko, proszę pójść... i godnie reprezentuj ojca i rodzinę – rzucił prośbę jak rozkaz i uzbrojony w podwójną baterię szczęciopaków szybko wyszedł z domu.

Zajrzała do koperty, w której było zaproszenie – było ciekawie opracowane graficznie więc postanowiła posłuchać „prośby” ojca i pójść, i zanurzyć się w innym klimacie – klimacie dostępnym nielicznym...

On – Adam, były mieszkaniec Płońska obecnie emigrant, któremu w pewnym momencie było za ciasno, za duszno – tu w Płońsku.

Musiał wyjechać... Musiał! I wyjechał.

Wyjechał na rekonesans do Danii. Chciał się pokręcić za robotą, może za jakąś przygodą... może udałoby zapomnieć to wszystko co zdarzyło się tu w rodzinnym miasteczku.

Myślał, że Dania to tylko etap. Etap i trampolina do Irlandii, Ameryki, Kanady, a może jeszcze gdzieś dalej, gdzie oczy poniosą i los zagna...

Pierwszą „zagraniczną” pracę zaczął u wnuka Polaka, który też kiedyś wyemigrował z Płońska, więc jakby był u krajana – w rodzinie płońszczaków....

Pracował ciężko, ale sumiennie i dokładnie.

Dał się poznać jako dobry, solidny fachowiec, więc dobrze zarabiał i odkładał na przyszłość... na Amerykę.

Muzyka „country from America” – to był jego „konik” – a że pracował w gospodarstwie, gdzie oprócz koni mechanicznych były i żywe – przebywał z nimi najczęściej – i dbał o nie jak o swoje...

Kiedy kupił sobie 12-strunową gitarę – wieczorami grywał na werandzie i zawsze gromadził wokół siebie grono sąsiadów a zwłaszcza sąsiadek.

Pyzate, rumiane i rozległe Dunki uśmiechały się zawsze zalotnie, chcąc na siebie zwrócić uwagę szczupłego, wysportowanego i zawsze eleganckiego chłopaka z Polski.

Kiedy zajrzała do skrzynki pocztowej i zo-

baczył zaproszenie z Płońska na obchody 600-lecia nie zastanawiał się ani chwili, lecz poprosił o tydzień urlopu, by pojechać w rodzinne strony.

Jubileusz był wspaniałym pretekstem, a i świetną okazją. Zapewne i inni, którzy wyjechali z „mazowieckiego gniazda” na taki jubileusz przyfruną choćby i z samego piekła.

Spakował się szybko, zamówił bilet na najbliższy samolot i jeszcze tego samego dnia po południu wsiadł w pociąg do Kopenhagi, by stamtąd odlecieć do Warszawy.

Spakował gitarę, którą zawsze ze sobą bierał.

Może będzie okazja pośpiewać na „starych śmieciach” ze „starymi kumplami”...

Może jakieś ognisko...

Może jakiś występ...

Może?

Któż to wie, co jeszcze się może na takim jubileuszu zdarzyć...

Taką miał nadzieję...

Gala

Miejskie Centrum Kultury wypełnione było jak nigdy dotąd.

Dopisali wszyscy. Wszyscy...?

Jubileusz na miarę tak wspaniałej, „okrągłej” rocznicy, która zazwyczaj zdarza się raz na sto lat zobowiązuje...

Były okolicznościowe przemówienia...

Był bardzo interesujący wykład na temat historii miasta...

Były odznaczenia... Był koncert RR...

Potem było spotkanie rocznicowe – toasty i rozmowy...

Rozmowy tych, co pozostali tu na miejscu – z tymi, którzy zjechali do rodzinnego „gniazda” na okoliczność Jubileuszu.

Ci ostatni odszukani przez władze miasta niejednokrotnie niemałym trudem gdzieś na krańcu świata – postanowili skorzystać ze wspaniałej okazji i odwiedzić rodzinne strony...

Spotkać się z rodziną, spotkać szkolnych kolegów, odnaleźć echa dawnych uczuć, pierwszych uniesień, przejrzeć się w oczach swej pierwszej miłości, która nie doceniła siły i prawdziwości uczuć – a której skutkiem było rozstanie, wyjazd, poszukiwanie zapomnienia, czy odnalezienie siebie?

Co jeszcze było powodem, że zaproszenia wystosowane przez Komitet Organizacyjny nie pozostały pustym echem można się domyślać – ważne jest, że wielu z siebie tylko znanych powodów odpowiedziało pozytywnie.

Tak też było i z Adamem...

Dojechał do „rodzinnego gniazda” aż... z Danii – niby nie daleko, ale jednak poza Płońskiem, poza Mazowszem, poza Polską...

Dostał pracę i mieszkanie u wnuka polskiego emigranta i osiadł... na krótko. Takie miał przynajmniej plany.

Celem była Ameryka. Tam się wybierał... wybierał... wybierał... Dzień za dniem, rok za rokiem.

Minęło 10 lat...

Pozostał, bowiem gospodarz był niezwykle miły – nie wykorzystywał go jak inni – u których pracował dorywczo, dodatkowo, by dorobić... by więcej odłożyć na Amerykę... na początek... na tę wymarzoną Ziemię Obiecana...

Zaproszenie z Polski dotarło do niego niezwykle późno – bo na tydzień przed uroczystościami.

Może było wcześniej, ale nie zaglądał do pocztowej skrytki częściej niż na dwa tygodnie.

Zawsze znajdował tam tylko rachunki do zapłacenia. Czasem list od Matki...

Czasem świąteczną kartkę od siostry, która prosiła o przysłanie paczki duńskich słodyczy dla dzieci.

Ona także wyjechała z Płońska w poszukiwaniu swego miejsca i... dotarła tylko do Warszawy.

Wyszła za mąż – urodziła troje dzieci – i to był Jej największy „skarb”.

Mąż okazał się nałogowcem. Pił, palił... itp.

Została sama... z trójką niedorostków.

Pracowała – ale z pracą coraz gorzej – musiała ją zmienić – przejść na gorzej płatne stanowisko w centrali telefonicznej. Była to centrala telefoniczna w Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”. Przez to miała kontakty z „całym światem”. Wiedziała gdzie jest brat. Posyłała mu kartki na święta, czasem list...

Prosiła o pomoc – a on jak to brat – nigdy nie odmawiał... Im bardziej jej dzieci rosły brat posyłał coraz większe paczki.

Wspominała o nim często podczas wieczornej modlitwy, kiedy było jej ciężko, smutno i samotnie w zimnym łóżku.

Adam współczuł siostrze i wspierał ją tymi paczkami...

Sam także czuł się „rozbitkiem” – bowiem jego pierwsza miłość, z którą snuł plany „na całe życie” nagle po maturze oświadczyła, że jest... w ciąży – ale nie z nim, tylko z Krzyskiem – jego największym wrogiem.

„Wróg” nienawidził go, ciągle z niego kpił, dopiekał mu do żywego...

A kiedy Monika oświadczyła, że go nie kocha i woli Krzycha... i że tylko Krzych... bo Krzych... to Krzych... Krzych potrafi... Krzych wie....

Był już doprowadzony do ostateczności i stwierdził, że Płońsk jest za ciasny dla ich trojga...

Nie mógł żyć w mieście z piętnem niedorajdy, który nawet „dziewczyny” nie mógł

przy sobie utrzymać.

A może to właśnie ona nie dorosła do wartości Jego uczuć. Uczuć pierwszych, delikatnych, czułych, kruchych, które nie powinny być okpione i zdeptane...

Matka mówiła mu zawsze, że o uczucie trzeba dbać jak o bardzo wrażliwą roślinę – pielegnować – otaczać opieką, chuchać.

Po otrzymaniu zaproszenia postanowił odwiedzić Ojczyznę, rodzinne strony. Nadarzała się okazja.

Wszedł do MCK-u. Oddał gitarę do szatni. Wziął ją ze sobą – liczył bowiem, że może potem będzie ognisko – a przy ognisku zawsze można pośpiewać stare przeboje i powspominać. Bardzo liczył na to ognisko. Liczył, że tam spotka tę, przez którą tyle wycierpiał tu na miejscu i tam dokąd wyjechał. Do której zawsze tęsknił i której zawsze pragnął!

Ktoś nagle puknął go ramię i krzyknął:

– Adam – to ty? Stary, myśleliśmy, że nie przyjedziesz A jednak jesteś. No to wspaniale. Chodź brachu, golniemy co nieco i powspominamy. Chodź, chodź! Tam dalej stoi stara wiara... idziemy!

Zanim zdążył jeszcze otworzyć usta już widział rozbawione twarze i wyciągnięte do powitania ręce.

Z trudem usiłował przypomnieć sobie twarze dawnych szkolnych kolegów. Acha... to Jurek, to Wiesiek, to Stasiak, to... to... to...

Wszyscy weseli, radośni, podchmieleni, rozbawieni – słowem ludzie sukcesu – miejscowy establiszment.

Ktoś podał kieliszek szampana – wypili pierwszy toast za wspomnienia.

Drugi za przyjaźń – za starą przyjaźń...

Trzeci za Jubileusz... Kolejny za... Kolejny z następnych za...

Pili szampana – ale cóż znaczy szampan przy takiej okazji...

Zniknął więc złocisty płyn. Pojawiły się mniejsze kieliszki. Kolor napoju był bezbarwny – ale nabrał zdecydowanej mocy. Przyjęte tempo zaskoczyło Adama.

Mieszanka szampana z wódką nazywana „Białym Niedźwiedziem” dała o sobie znać – organizm się nie bronił – stał się bardziej rozluźniony – bardziej otwarty na stare przyjaźnie i wspomnienia.

Zapytał o zakąskę, bowiem stwierdził, że warto spróbować miejscowych specjałów – specjalnie przygotowanych na okazję Jubileuszu przez firmy, które chcąc pozyskać nowych klientów sponsorowały bankiet.

Przeprosił towarzystwo i odszedł w kierunku stołu, by „coś wrzucić na ruszt”. Wziął talerzyk – sięgnął po widelec – zaczął nakładać specjały.

Kiedy chciał sięgnąć po dwa ostatnie – jego ulubione jajka faszerowane, nagle zaczęły znikać na innym talerzyku. Podążył wzrokiem za ręką sięgającą po „jego” delicje...

Należała ona do młodej, ładnej, zgrabnej Panny. Zauważył, że nie miała obrączki – ani pierścionka. Ona także zauważyła, że on także

zapagnął jajeczka...

– Mogę się podzielić – są dwa... – zaproponowała.

– Ależ nie... Jeśli ma Pani ochotę na dwa...

– Może jednak?

– Kobietom – a szczególnie ładnym się nie odmawia... – odpowiedział żartem, sądząc, że młoda panna szybko pokaże mu swoje plecy.

Ale nie – uśmiech rozpromienił jej twarz i w podzięcie za żart szybko zanim zdążył zaprotestować wrzuciła mu jedno jajko na talerzyk.

– Dzięk... ku... ję! – wyjąkał kompletnie zaskoczony.

– Ależ proszę... Smacznego! – posyłając przy tym czarodziejski uśmiech.

Adama kompletnie zamurowało.

Stał z talerzykiem w dłoni i wbitym w Pannę wzrokiem.

Nie mógł go oderwać... zwyczajnie nie mógł – coś go trzymało... Coś go przesyliło, jak grom z jasnego nieba. W jednej chwili otrzeźwiał i... gapił się na pannę.

– Smacznego! – powtórzyła

– Dzięk... ku... ję! – powtórzył machinalnie.

– Niech pan nie patrzy! Niech pan je... bo zabiorę! – zażartowała.

Adam chciał wrócić do swego towarzystwa, ale coś go trzymało. Jakby wrósł w ziemię – a raczej w parkiet...

Panna też nie odchodziła, lecz spokojnie „wymiała” z talerzyka, rzucając przy tym ukradkowe spojrzenia.

– Pan chyba nie tutejszy? – zapytała.

– Tutejszy – ale emigrant – odparł.

– Wyemigrował pan poza granice Płońska! Gdzie? Do Warszawy?

– Nie, trochę dalej – oparł

– Adam, Adam, Aaaa – dam! Weź wreszcie te zakąski i chodź tutaj do nas... – zawołało go poprzednie grono.

– Panie Adamie – wołają pana – musi pan już iść... – przypomniała napotkana przypadkiem panna.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – rzucił na pożegnanie.

– Ja, też – uśmiechnęła się prowokująco i odwróciła się na pięcie znikając w tłumie...

Andrzej Zagdański



Rys. Barbara Medajska

Spóźnione refleksje

Pojawienie się w czasie wigilii w moim domu świętego Mikołaja było dla mnie wydarzeniem, na które czekałam kilka lat! Otóż poprzedni święty Mikołaj spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach w swoim domu i dzieliłam się w kręgu bliskich mi osób zmartwieniem, że nigdy nie ujrzę już świętego. Zaskoczenie było ogromne, gdyż nagle zobaczyłam świętego Mikołaja w drzwiach. Oczywiście dotknęłam go, by się upewnić, że nie jest wytworem mojej wyobraźni. To był wyjątkowo piękny i wzruszający moment w czasie wigilii. Również było to dla mnie istotne przeżycie wyrazu przyjaźni ze strony świętego.

Na tym tle znaczenie pięknej choinki i wiszącej olbrzymiej jemioli, nabrało drugorzędowego znaczenia, mimo że stanowią o wyjątkowości tego dnia na równi z nakryciem dla nieoczekiwanego przybysza. To bardzo piękny obyczaj polskiej wigilii. Ale obawiam się, że w obecnych czasach stał się czystą formą. Bardzo niewiele osób potraktowałoby należycie dzwoniącego do drzwi przybysza, zwłaszcza nieznanego.

Usankcjonowaną nieprawdą jest traktowanie świąt Bożego Narodzenia jako przejawu życzliwości wzajemnej, by nie powiedzieć miłości bliźniego. A to dlatego, że spędza się ten dzień w gronie rodziny, pozostawiając poza drzwiami rodzinnych kręgów nawet osamotnionych przyjaciół. Odkąd zaczęłam samodzielnie myśleć, budzi to we mnie protest. Wszak kontakty rodzinne bywają często powierzchowne, bądź oparte na przyzwyczajeniu a nie żarliwej miłości i porozumieniu, które osiąga się w przyjaźni.

W opozycji do tego, co wypada, zaprosiłam byłam kiedyś na wigilię nieznanego, który właśnie opuścił więzienie. Przedstawił mi go na początku grudnia jego kurator i wtedy dowiedziałam się, że ów były więzień, który odbył karę za morderstwo, nigdy nie ubierał choinki i nigdy nie zasiadał do stołu wigilijnego. Wbrew woli mojej przerażonej mamy, postanowiłam go zaprosić. Wigilia przemieniła się w niezwykle interesującą dyskusję o sprawach istotnych. Ów więzień wykorzystał czas w celi na czytanie mądrych dzieł.

Formą anegdoty niech stanie się moja opowieść o wigilii w której wzięło udział kilkanaście osób, w tym także bliscy znajomi. Otóż spragniona niespodzianki, zamówiłam w sklepie warszawskim przyjęcie świętego Mikołaja. Zadzwonił do drzwi. Wręczyłam mu worek z prezentami przeznaczonymi dla każdego. Gdy wszedł do pokoju i zobaczył siedzących przy stole, odwrócił się i zaczął uciekać porzucając worek. Dogaoniłam go na pierwszym piętrze kamienicy. Swoje przerażenie i ucieczkę wyjaśnił tym, że nie zobaczył w pokoju żadnego dziecka. Myślał, że znalazł się w domu osób chorych psychicznie! Gdy

wyjaśniłam mu, że dorośli są podszyci dzieckiem, wrócił i pytał mego wuja – wręczając mu prezent - czy grzecznie jada kaszę manną na mleku.

Święty Mikołaj jest dla nieintelektualistów niezbędną postacią i wydarzeniem, skoro nawet Niemcy w czasie wojny – jak mi opowiadano – wysłali świętego ze wsi do obozu przymusowej pracy, gdzie więzieni byli Polacy. Rzecz działa się w górach Harzu. Ta usankcjonowana nieprawda o świętym Mikołaju wnosi element baśniowości do codziennego życia.

Usankcjonowane nieprawdy, a przynajmniej ich większość, przynoszą ograniczenia wolności człowieka. Oczywiście nie dotyczy to św. Mikołaja. Przytoczę jako przykład owych nieprawd pogląd, że przyjaźń zawiązuje się tylko w wieku szkolnym. Zresztą na tym oparty jest w dużym stopniu facebook, a przynajmniej jego geneza.

Usankcjonowaną nieprawdą jest także konieczność zbrojenia się po to, by bronić pokój. Sama analiza tego stwierdzenia wykazuje wewnętrzną sprzeczność, a trwałość jego jest wyjątkowa, bowiem wywodzi się ze starożytności. Zresztą najtańszym sposobem niszczenia nagromadzonego, przestarzałego sprzętu wojennego jest krótkotrwała wojna. A więc zbrojenie się przynosi w konsekwencji wojnę, a nie pokój. Pisał już o tym w XVIII wieku Kant.

Usankcjonowane nieprawdy dotyczą wielu dziedzin naszego życia i działają zniewalająco. Rozum zdaje się, że jest uśpiony, skoro podlega pozorom prawdy. Zaliczyć można do tych usankcjonowanych nieprawd także teorie naukowe, ale o tym dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy zostaje ogłoszona nowa teoria, eliminująca poprzednią.

Wychowywani jesteśmy z reguły pod wpływem błędów w sposobie myślenia, które są charakterystyczne dla naszego domu rodzinnego. Niezbędna jest intuicja, która pomaga w odchodzeniu od przekazywanych nam utrwalonych nieprawd. Sławiony rozum często zawodzi. A w kulturze europejskiej jest on ceniony wyżej niż poznanie intuicyjne. Straciliśmy, niestety, zdolność poznawczą charakteryzującą ludy pierwotne.

prof. Maria Szyszkowska

Córy II wojny światowej

(Dokończenie ze strony 9)

Większość relacji na temat domów publicznych w Auschwitz-Birkenau pochodzi

od mężczyzn: więźniów politycznych, esesmanów, więźniów funkcyjnych. Mniej świadectw dały kobiety więźniarki. Od kilkudziesięciu lat mówi się o nich – bez nich. Różnie jednak zazwyczaj ironicznie z dystansem, z pogardą, z potępieniem, lekceważąco.

W 1945 roku uciekająca przed Armią Czerwoną niemiecka załoga zniszczyła większość dokumentacji, w tym materiały dotyczące dwóch obozowych domów publicznych. Z nielicznych ocalałych dokumentów, poświadczających przeprowadzenie badań na obecność chorób wenerycznych, można odczytać nazwiska kilkudziesięciu kobiet, które pracowały w „Puffach”. Wydaje się, że jest wśród nich mniej więcej tyle samo Niemek, co Polek. Część nosiła oznaczenie ASO, czyli aspołeczna. Może to oznaczać, że niemieckie władze porządkowe zatrzymały je i posłały do obozu za prostytutkę, ale także za kontakty z mężczyznami zakazanej dla nich rasy, rozwiązłość, za to, że sprawiały „erotyczne wrażenie”, a nawet za odmowę podjęcia pracy w domu publicznym poza obozem.

Mimo to jeszcze w 1993 roku niemiecki historyk nazywał kobiety z obozowych domów publicznych „kurwami”, a inny w 1979 roku zaliczył dom publiczny do „działalności kulturalnej” w obozie, inny polski autor książki na temat pracy przymusowej w obozie Auschwitz-Birkenau widział dom publiczny jedynie, jako element systemu nagród.

Kiedy mówi się o wojnie, nie mówi się o kobietach ani o przemocy w sferze seksualnej. Kiedy mówi się o przemocy seksualnej, myśli się o winie ofiar. A kiedy myśli się o prostytutce, nie uważa się jej za pracę. W Polsce wciąż lepiej go nie dotykać: mit Auschwitz, jako miejsca podniosłej śmierci jest za silny.

Władze żadnego z wymienionych krajów do dziś nie uznały pracy kobiet w nazistowskich domach publicznych za przymusową. Nie wypłacono, więc należnych odszkodowań kilkudziesięciu tysiącom kobiet, w tym około 150 byłym pracownicom obu domów publicznych na terenie obozu Auschwitz-Birkenau. Seks i prostytutka miały niejako uwłaczać powadze zagłady. Tymczasem domy publiczne dla więźniów wpisane były w tragedię tamtych dni tak samo jak każdy inny aspekt życia obozowego. Ludzkie słabości, naiwność, a także chciwość i chęć przeżycia za wszelką cenę, stanowiły tu swoistą mozaikę ludzkich zachowań.

Obozowe domy publiczne były pomysłem Heinricha Himmlera, który w 1942 roku szukał nowych rozwiązań, które motywowałyby pracowników do wydajniejszej pracy. W efekcie już w 1943 roku utworzono dziesięć domów publicznych w dziesięciu obozach koncentracyjnych. W Auschwitz utworzono dwa puffy (w Auschwitz I w bloku 24a oraz w Auschwitz III-Monowitz, w bloku 10.

(Dokończenie na stronie 24)

KOZETKA (7)



Reinkarnacja baroku

*Byłoby bardzo glamour być zreinkarnowanym,
jako wielki pierścień na palcu Liz Taylor.*

Andy Warhol

Pomyśleć, że kobiety do XIX wieku portretowano, mówiono o nich, ale do tego czasu one same nie zabierały głosu publicznie. Wiek XIX był także wiekiem tkanin, wstępem do rozwoju przemysłu modowego, świata, w którym głos kobiet jest decydujący. Teraz moda zamienia się miejscem ze stylem życia. Do łask powraca rzemiosło. Minimalizm ostatnich lat zastępuje estetyka baroku.

JOANNA FRIEDRICH

Kiedy przychodzi czas pokazów haute couture, po Europie rozlewa się zapach jak z wielkiej butli perfum. Chociaż niektórzy dziennikarze modowi mówią, że haute couture przestaje istnieć, że moda umiera: Wydaje mi się, że stracili modowe libido.

Najpiękniejszy dla mnie w tym sezonie, zarówno zapach, jak i pokaz, haute couture spring 2016, są autorstwa Eliego Saaba, libańskiego konesera i kontynuatora stylu glamour. Jego indyjska księżniczka przebiera się tym razem za hipiszkę, przywodząc na myśl wyjście naprzeciw wolnej miłości i swobodne zgłębianie tajników kamasutry.

Moda jest lustrem społecznych trendów, więc wygląda na to, że czekają nas same przyjemności.

Obecnie mamy dwa trendy w kulturze, jeden goni za przyzwoitością, drugi – wręcz przeciwnie. Jak mawiał Pablo Picasso, „Kobiety albo nie powinny nosić niczego, albo długie

spódnice”. Mawiał on także: „Nie zrozumiecie sztuki, póki nie zrozumiecie, że w sztuce 1+1 może dać każdą liczbę z wyjątkiem 2”. Podobnie jest z miłością i z kobietami.

Kobieta to tajemnica, która swoje sekrety odsłania stosunkowo od niedawna. XX wiek należał do niej. Czy żyła do tej pory tylko w wykwintnej rzeczywistości lub niepisanym niewolnictwie? Co ujawnia światu o sobie? W jakim kierunku zmierza jej styl życia?

Moja ulubiona, Diana Vreeland, redaktor naczelna czasopisma „Vogue”, które ostatnio obchodziło swoje stulecie istnienia, mawiała, że pierwszą zasadą, jaką wpaja się przyszłej gejszy, w wieku lat dziewięciu, jest to, by być czarującą względem innych kobiet. Jej zdaniem każda dziewczynka powinna przejść trening gejszy.

Kultura japońska od lat budzi we mnie ciekawość i zaufanie. Inspiruje, ze względu na funkcjonalność, nienachalność i czystość estetyki.

Uwielbiam czytać i oglądać filmowe realizacje historii gejsz, opowieści o herbaciarniach, ostatnich samurajach i najnowszych japońskich wynalazkach. Japonia, ze względu na bezproblemowe wdrażanie pomysłów technologicznych i uproszczeń życia codziennego jest miejscem mocno zanurzonym w przyszłości. Co, przy jednoczesnym szacunku dla tradycji, daje optymalny wachlarz możliwości wyboru. Tam wszystko wydaje się być na właściwym miejscu. Japończycy nie ustają w poszukiwaniach i ulepszeniach rzeczywistości. Są bardzo interesującym narodem.



Zasady, obowiązujące w społeczności gejsz są dziś pewnym abstraktem. Są nie do odtworzenia, podobnie jak barok w Europie. A jednak warto wspomnieć o solidarności kobiecej, tej archaicznej zasadzie, która obowiązuje już tylko w nielicznych miejscach na świecie, miejscach dotkniętych matriarchatem i prześląkniętych kulturą Wschodu.

Zachód promuje kobietę-dominę. Samicę alfa, która bez namysłu przejmuje wszystkie obowiązki mężczyzny i wyręcza go nawet w tańcu godowym. Nie lubi otwierania przed nią drzwi, a całowanie w rękę traktuje jako niepotrzebny archaizm. Dzieci nie rodzi lub robią to za nią surogatki, nie lubi zmieniać kształtu swojego, wypracowanego w pocie czoła, ciała. (Jeśli już rodzi, wraca jak najszybciej do formy, i, oczywiście, do pracy.) W pracy samica alfa rywalizuje głównie z mężczyznami, bo żeby ich wyprzedzić musi być lepsza od nich. Przekonałam się już niejednokrotnie, że nie można

przyjaźnić się z całym światem. Ale przyjaźń pomiędzy kobietami istnieje i ma się dobrze. Jest piękna i warto o nią walczyć. Tak, jak o ognisko domowe. Kobiety to wiedzą. Nie tylko barokowe damy i gejsze – nauczycielki.

Gejsza była instytucją stworzoną dla piękna, wychwalała je za pomocą muzyki, tańca i sztuki, była jej ucieleśnieniem. Kodeks honorowy gejsz, wbrew pozorom, nie dawał się prowadzić za nos. Dawał szansę bycia sobą, chronił suwerenność jednostki.

Jeśli kobieta będzie łączyć to co najpiękniejsze z przeszłości i odważnie kreować przyszłość, czeka nas bardzo interesująca epoka. Choć podobno ci, którzy znają się na historii są słabymi wizjonerami. Czas pokaże. Pokaż(cie) kobiety.

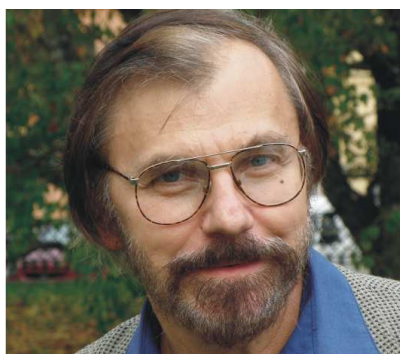
„Co słyhać”?

Zewsząd słyhać głosy narzekania na niski poziom czytelnictwa. Na znikomy, bądź zupełny brak czytania osób piszących, zwłaszcza tych, które dopiero zaczynają tworzyć, które wysyłają swoje płody poetyckie na konkursy literackie czy posiadają już publikacje na łamach prasy albo też na portalach poetyckich, których liczba w zaskakującym tempie wzrasta. Narzeka Andrzej Dębkowski, Stefan Jurkowski, Andrzej Walter, Andrzej Wołosewicz i praktycznie każdy z liczących się dziś krytyków literackich. Ostatnio nawet wzmogły się te głosy (wystarczy przeczytać ostatni numer „Gazety Kulturalnej” czy zajrzeć do e-Tygodnika Literacko-Kulturalnego Pisarze. pl.). Nieustannie podnoszą ten temat nauczyciele, bo młodzież unika czytania lektur posiłkując się streszczeniami, których zatrzęsienie w internecie. Wystarczy wystukać tytuł w googlach i już wyświetla się lista bryków. Uczniowie treść lektury pozyskują błyskawicznie, zamiast doznać smaku bezpośredniego zetknięcia się z oryginałem słowa, dzieła literackiego, czy (broń Boże!) z opracowaniem krytycznym publikacji. Wszelkich wstępów, posłowi młodzież unika jak ognia. No, może tylko ci ambitniejsi, którzy mają zamiar zdawać na studia polonistyczne. I to też wątpliwe, bo raz po raz słyhać się narzekanie pracowników naukowych na nieoczytanych i prezentujących coraz niższy poziom absolwentów szkół średnich. Ale ekonomia przesądza o naborze na wyższe uczelnie i tego procesu chyba nie da się, póki co, powstrzymać.

Ale, czy my, żywi autorzy, też utyskujący na brak zainteresowania literackimi kołami młodych, narzekający na niski poziom frekwencji podczas spotkań autorskich, na znikomą sprzedaż książek, zwłaszcza poetyckich, próbujemy coś w tej kwestii zrobić?

(Dokończenie na stronie 24)

Listy do Pani A. (91)



Choroba większości

Droga Pani!

Nowy Rok przywitał nas śniegiem i mrozem, co wydało się nam nienormalne, ponieważ przywykliśmy do aury jesienno-zimowej. A to przecież był początek stycznia, miesiąca w którym raczej nie chodzi się nago. W ogóle człowiek łatwo się do wszystkiego przyzwyczają, nawet do bezprawia i niesprawiedliwości. Inaczej, nie moglibyśmy przetrwać nawet najbardziej ciężkich warunków. Nie znaczy to, że przestaje się odczuwać ich uciążliwość, ale to co nienormalne uważamy po pewnym czasie za jakąś normę, albo co najmniej stan przejściowy. Tak jest ze wszystkim, co nas otacza. Jednak istnieje metoda, która nam pomaga opierać się wszelkim wariactwom, i nie koniecznie musi to być broń palna...

To lektury. Jednak kiedy czyta się choćby o awanturze, jaki wywołało wystawienie „Przestępców” Ferdinanda Brucknera w kierowanym przez Aleksandra Zelwerowicza Teatrze Wielkim na Pohulance, jako żywo stają przed oczami zadymy i głupie decyzje mające miejsce w ostatnim czasie we Wrocławiu w związku ze sztuką „Śmierć i dziewczyna” według Elfriede Jelinek. A tamten incydent miał miejsce w 1930 roku. Jak pisze Andrzej Franaszek w znakomitej, obszernej książce „Miłosz. Biografia”, wątki obyczajowe sztuki Brucknera wzbudziły protesty, jako zatruwające „duszę wileńską”. Ciekawe, czym akurat była ta dusza wileńska, jak nie zwykłą zaściankowością. Młoda elita literacka i naukowa wystosowała wtedy list skierowany do ówczesnej redakcji „Słowa”, którego redaktorem naczelnym był Stanisław Mackiewicz. Oto co napisali: „potępiamy hipokryzję prasy, która z jednej strony tolerując sztuki o charakterze wysoce pornograficznym, ale za to salonowe, oburza się z drugiej strony i protestuje przeciw sztukom o głębokiej tendencji społecznej, o ile tylko odbiegają od konwencjonalnych pojęć i otwierają wzrok na zjawiska żywotne, a tkwiące głęboko pod skorupą tępoty obyczajowej”.

Ilu dzisiaj jest tępaków obyczajowych wśród „rządzących”, ich luzusów, „moralistów”. Choć przyznam się Pani, że bardziej wierzę w ich cynizm i koniunkturalizm niż w autentyczne przekonania. Zresztą to nie ma znaczenia.

Tamtych ludzi już nie ma, obecnych też (oby jak najszybciej) nie będzie, a samo zjawisko jest chyba nieśmiertelne. Bardzo polecam Pani tę biografię, niezwykle ciekawą. Można się przemieścić wyobraźnią do tamtej rzeczywistości, w której wszelkie sprawy rozgrywały się pomimo wszystko z dużo większą klasą niż dziś.

A środowisko literackie, choć często skłócone, koncentrowało się raczej na polemikach ideowo-intelektualno-literackich, a nie na plotkach, podjazdach, intrygach. Ale wtedy adepci literacy byli ludźmi wykształconymi i na poziomie dalekim od magła. Jako twórcy uznawali pewną hierarchiczność. Był szczeniakiem nie pretendował do miana pisarza czy poety. Dziś sami poeci. Wystarczy otworzyć internet. Chociaż... Zacytuję list Miłosza do Władysława Sebyły, któremu przysłał noblista wysłał wiersze z propozycją zamieszczenia ich w nowym tygodniku „Zet”. Cytat dosłowny, niczego nie łagodzę. Myślę, że Pani mi wybaczy. A oto co Noblista napisał:

„...mimo przyrodzonej skromności uważam swoje rzeczy za lepsze od całego szeregu utworów różnych zresztą sympatycznych chujów, którzy na pewno będą do »Z« szturmować”. Skąd my to znamy? Może więc dziś idealizujemy dawniejsze czasy? List poety pisany był w 1932 roku. Myślę jednak, że nic się pod tym względem nie zmieniło.

Gdyby nie lektury przenoszące w przeszłość, przywołujące inny, choć nie zawsze przecież lepszy świat, to bym zapadł na przewlekłe torsje. Mam dosyć dzisiejszych polityków, grafomanów, prezesów, biskupów, urzędasów – i wszelkiej maści pasożytów i hołoty. Aby zachować resztki zdrowia psychicznego staram się, o ile mogę, odwracać do tego bagna tyłem.

A frontem na przykład w stronę Kazimierza Przerwy-Tetmajera, o którym bardzo ciekawą książkę napisał Tadeusz Januszewski. To też inne, „lepsze” czasy. A według mnie stokroć gorsze, ale tylko pod pewnymi względami. Oto co brat Włodzimierz pisze do Kazimierza: „Zanim się od ciebie dowiedziałem, powiedział mi Tadeusz [Żeleński], że chcesz się żenić i że masz syfisy. Syfisy ma większość mężczyzn: miał nasz ojciec, stary Żeleński, Jacek Malczewski etc. (...)”.

Na szczęście choroba ta już nie jest taka groźna, nawet dla poetów. Przynajmniej w wymiarze cielesnym. To tylko nasza rzeczywistość choruje niezmiennie i nieuleczalnie, co widać obecnie coraz wyraźniej.

Poeci zawsze byli lekkomyślni, mieli zwirowane pomysły, a polowania na muzy stanowiły istotną część ich życia. Teraz także. To konieczne dla podsycańca mocy twórczych. Nie rzucam w nikogo kamieniem...

Twórcy są w jakiejś mierze do siebie podobni. Kto z piszących nie przeżywa dylematów artystycznych, filozoficznych, nie stara się odczytywać sensu istnienia w ogóle, a w szczególności własnego? Nie przeżywa dotkliwej wątpliwości co do własnej pracy twórczej i jej owoców? Ta wrażliwość niejednokrotnie to-

piona jest w alkoholu, zagłuszana jakimiś szaleństwami, które nie przysły by do głowy ludziom „normalnym”. Chociaż powiada się, że nie ma ludzi normalnych, są tylko niezdiagnozowani. Na szczęście nie wszyscy muszą uprawiać masowo jakąkolwiek sztukę.

Przeczytałem ze wzruszeniem książkę Anny Król „Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie”. Pisarz przywiązywał wagę do drobnych przedmiotów: gromadził listy, bilety kolejowe, wycinki prasowe, pudełka po papierosach, szklane cygarniczki, notatki, luźne kartki z zapisanym numerem telefonu, już nawet nie wiadomo czyjego.

Chyba wszyscy mamy podobnie. W moich szpargałach jest samochodzik z dzieciństwa, jakieś szpulki, bilety, pudełeczka, gumowe piłeczki, stare kalendarzyki... Nawet przyjemnie mi się zrobiło, gdy dowiedziałem się, że mam podobne nawyki, co wielki pisarz. Nie on zresztą jeden. Wielu literatów zachowywało najrozmaitsze, tylko dla nich ważne pamiątki. Książka Anny Król napisana jest ciekawie, odkrywa tajemnice szuflady literackiej na Stawisku, która to szuflada staje się kwintesencją wszystkich innych szuflad, także tych naszych. Czy uprawiamy jakąś sztukę, czy nie, zawsze miła jest świadomość, że coś po nas pozostaje, choćby te kilka szpargałów, dla innych nie przedstawiających żadnej wartości. A po nas – będzie to dla nas i innych obojętne. Po nas... W ramach cyklu zapoczątkowanego przez ZLP „Patroni naszych ulic”, Andrzej Tchórzewski przeprowadził sondę uliczną, na ulicy Staffa, by zbadać, czy przechodnie znają patrona. „Kim był Leopold Staff?” – pyta Tchórzewski. „Nie mam zielonego pojęcia” – odpowiada zadowolony z siebie młodzieniec. Ciekawe, czy facet chodził do szkoły, a jeśli tak, to do jakiej. I dziwi się Pani ponurej niekiedy tonacji tych listów?

Przyszła dziś wiadomość o śmierci Jolanty Nowak-Węklarowej. Niewątpliwie była to dobra poetka, pedagog o świetnym podejściu do dzieci i młodzieży. Podczas Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu czy Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej często odbywaliśmy wspólne spotkania z młodzieżą, uczestniczyliśmy w koncertach poetycko-muzycznych. Charakter miała dość trudny, ale tego nie chcę Pani opisywać. W każdym razie po śmierci każdego człowieka robi się pusto wokół nas, i dotkliwiej czuje się – że tak patetycznie napiszę – powiew wieczności. A może choć jej uczniowie zapamiętają, kim była, i co mówiła o poezji...

Jak Pani widzi jestem – pomimo to – jednak optymistą. Przecież nie wszystko, co widzimy jest okropne; nie wszystko, co nam wciskają jest takie piękne. Poza tym w ostatnich dniach znowu zrobiło się ciepło. To już coś. A zatem nie dajmy się zwariować. I z tym, wprawdzie minimalistycznym, życzeniem pozdrawiam Panią serdecznie –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Poeta dla dzieci małych i dużych

Każda śmierć jest tajemnicą, wobec której nauka jest bezradna... Być może wyzwalane przez nią wzruszenia są tym bliższe, im bardziej odkrywamy w niej pozostałości naszego dziecięcego świata, w którym wszystko było łatwiejsze, prostsze i bardziej ufne.

Zmarły 18 stycznia 2006 roku ksiądz Jan Twardowski przypominał trochę „dziecięcego” człowieka, dla którego cały świat był cudowną taflą zachwyty, wielkim odniesieniem do życia w dobroci i miłości. Może właśnie dlatego postanowił, że zostanie księdzem. Właśnie minęła 10. rocznica śmierci poety...

ANDRZEJ DĘBOWSKI

To dzieciństwo przewijało się przez całe jego życie i może dlatego najbardziej lubił pisać dla dzieci. Uważał, że one potrafią zauważyć to, co w życiu najprostsze. Uczą, jak dostrzegać dobro w świecie. Są pełne ufności. Zwracają uwagę na szczegóły, zadając ciekawe pytania, każą logicznie myśleć. Dlatego dziecięcy sposób patrzenia na świat jest tak fascynujący.

Dziecko jednak – to czytelnik niezwykle wymagający. Nie jest łatwo pisać dla dzieci. Ksiądz Twardowski dobrze o tym wiedział. Stąd też zwraca się do nich w swoich wierszach i opowiadaniach z niepowtarzalną prostotą, a zarazem głębią. Potrafi nawiązać z nimi kontakt. Językiem obrazowym mówi o zwyczajnym świecie: o tajemnicach drzew i kwiatów, świętach, wakacjach czy klasówce z religii.

Działa na wyobraźnię, gdy opowiada o Mamusi, która uczyła go znaku krzyża czy o św. Mikołaju, który jest bardzo cierpliwy, bo cały rok czeka na jeden dzień, żeby pokazać się ludziom.

Jak sam wiele razy podkreślał, wiele zawdzięczał dzieciom. Zarówno tym, które uczył religii na pierwszej parafii w Żbikowie, jak też tym, do których potem w warszawskim kościele Sióstr Wizytek głosił homilie, z którymi się spotykał, rozmawiał i którym pozwalał rysować zwierzątka na białym

kaflowym piecu w swoim pokoju. Dlatego wszystkim, co wciąż do nich pisze, wyrasta z osobistych doświadczeń, z autentycznego przeżycia.

Z pewnością jego poezję mogą czytać także dorośli. Kiedy bowiem wyciągają oni nadzieję, szczerłość oraz ufność do ludzi i świata, odradzają się przeciw w źródle dzieciństwa. To bardzo pięknie zachować dziecięcą ufność przez całe życie – mówił często autor „Zeszytów w kratkę”.

W wywiadzie „Zgoda na świat”, udzielonym Milenie Kindziuk – powiedział: *Fascynuje mnie dziecięcy sposób patrzenia. Dziecko jest pełne ufności do świata. Ma bowiem jasną świadomość, że istnieje ktoś większy i mocniejszy od niego. To bardzo piękne zachować dziecięcą ufność przez całe życie. (...) dzieci zwracają uwagę na szczegóły, uczą logicznie myśleć, zadają ciekawe pytania. (...) dziecko zdolne jest do zauważania tego, co najprostsze. Uczy jak dostrzegać dobro na świecie. I dalej ciągnął myśl, że: Tylko dzieciom wolno zadawać pytania zasadnicze. Później ten przywilej pozostawiamy jedynie filozofom, przy czym trzeba spojrzeć, że niewielu filozofów z niego korzysta (...) Stąd na co dzień filozofią zajmują się małe dzieci i ci nieliczni dorośli, którzy zachowali duszę dziecka”.*

To do nich co tydzień na niedzielnej mszy u sióstr Wizytek mówił ks. Jan Twardowski, wygłaszając kazanie o sprawach najważniejszych, sformułowanych najprościej.

Książki dla dzieci pisane przez Twardowskiego są także właściwą lekturą dla dorosłych, którzy powinni zdaniem księdza „przejrzeć się w dzieciństwie jak w źródło” i pamiętać, aby „nie zmacić tej źródlanej wody”.

Aż do znudzenia powtarzał, że cokolwiek nas spotyka, przychodzi spoza nas, że będzie jak ma być... W naszym życiu nie ma przypadków, przypadkowych spotkań. Ludzie do nas przychodzą, o coś pytają czegoś potrzebują. Każdego z nich wprowadza Bóg. Nie trzeba szukać odpowiedzi do końca. Jest to człowiekowi po prostu niepotrzebne. Nie ma sensu podglądanie tajemnic. Bóg to przecież wielki artysta. Bóg niedomówień. Artysta nie może dopowiadać do końca. Bogu nie stawia się pytań: dlaczego? Dopiero życie wieczne będzie polegało na odkrywaniu tajemnic. To co przychodzi spoza nas to jest właśnie wola Boża („Zgoda na świat”, Milena Kindziuk).

Zawsze chciał się tylko światu dziwić. Czasem pomyśleć. Twierdził, że „człowiek, to urodzony dezenter, ciągle gubi się Panu Bogu”. Kochał Boga był księdzem, a mimo to uważał, że nie należy nawracać na siłę. Jego Poezja mówi o Bogu, ale jest nie tylko dla wierzących, lecz dla każdego.

Jego stwierdzenie, że nie ma ludzi idealnych, czasem budziło zdziwienie, natomiast piękne i wzruszające było to, usprawiedliwiało człowieka grzesznego, który starał się wciąż wracać do Boga. *Żeby kogoś nawrócić najpierw trzeba siebie samego nawrócić. Wciąż bowiem coś nas od Boga oddala, nie tylko grzech. Także codzienne zajęcia, nastroje, problemy, ciągle musimy starać się by to wszystko nie pochłonęło nas całkowicie.*

Ksiądz Jan Twardowski starał się widzieć Boga w każdym człowieku. Uważał, że podział na wierzących i niewierzących jest w gruncie rzeczy sztuczny. Nikt nie wie jak jest naprawdę. Wierzył w nawrócenie złych ludzi i widać to w jego wierszach, widać przekonanie, że człowiek jest w zasadzie dobry. *Bo tak jest, bo nawet ten przegrany jest wygrany.*

O czym by nie pisał ksiądz Twardowski, a nie unikał żadnych tematów, także tych drażliwych, dochodził zawsze do miłości. Do miłości, której się szuka, bo albo ona jest, albo jej nie ma. I przekazuje nam takie prawdy – najprostsze i najczystsze: W

miłości wciąż to samo radość i cierpienie, nawet sam Pan Bóg nie kocha inaczej („Rzeczpospolita”), „W miłości wciąż to samo”, Krzysztof Masłoń, 2.06.1996).

Co więc było dla niego najważniejsze w życiu? Myślę, że miłość. Twierdził, że miłość ziemską zawsze jest zagrożona. Dlatego ostatecznie tęskniąc za miłością tęsknimy za Bogiem. Szukamy miłości w ludziach, aby ostatecznie odnaleźć miłość w Bogu. Uważał, że tylko Bóg ma miłość, która nie poniża człowieka i jedynie w odniesieniu do Niego można mówić o prawdziwej miłości.

Oprócz miłości, drugim jego natchnieniem była przyroda. Była dla niego swoistym bohaterem. Świat natury jest bardzo bliski człowiekowi. A także Bogu. *Gdy przebywam na łonie natury i obserwuję otaczające mnie drzewa, kwiaty i ptaki, uświadamiam sobie, że »Bóg się ukrył, by świat było widać« – pisał.*

Ksiądz Jan Twardowski nieodmiennie zachwycał się światem przyrody: mrówką, ważką, biedronką. I mówił o nim ze szczególną czułością. Tak samo o ludziach jak o ptakach i lesie – jak św. Franciszek...

Często zdarzało się, że recenzenci omawiając jego wiersze pisali o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu i innych wielkich filozofach. Ksiądz Twardowski był tym przerażony. Nie pisał wierszy dla poklasku. Pisał dlatego, ponieważ uważał, że ma coś bardzo ważnego do przekazania, do powiedzenia, że trzeba to ocalić i zapisać. Ale bez tej całej filozofii...

Pisał językiem poezji niedzisiejszej i niedzisiejszej krytyki literackiej. Lubził wiersze niemodne. Tęsknił za humorem, który uczy pokory, pozwala śmiać się z samego siebie, ratuje od patosu, tak bliskiego dawnym wierszom religijnym, pozwala spojrzeć z uśmiechem nawet na dramat.

Poprzez swoje wiersze dotarł do osób, którzy normalnie nigdy nie sięgnęliby po poezję. Dzięki temu widzieli oni w nim przyjaciela, stawali się ludźmi wrażliwymi. Poezja kształtuje i budzi, a jego wiersze pogodnie patrzą na świat, chwalą Pana Boga, mówią o miłości, nadziei. Wyrażają ludzkie uczucia, które są bliskie wszystkim.

Poezja księdza Twardowskiego poszukuje tajemnicy, a więc dotyka tematu Boga, ludzkiego życia i śmierci. Mówi, że w poszukiwaniu rzeczy istotnych pomoże nam nasza wiara.

Przez długi czas dla księdza Twardowskiego – jako autora – atmosfera była nieprzychylna, bo wiersze religijne niechętnie publikowano. Największą popularność zyskał tom „Nie przyszedłem Pana nawracać. Wiersze 1937-1985” opublikowany przez WAW w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Później jego wiersze ukazywały się w różnych wydawnictwach, w rozmaitych wyborach. Był wzruszony, kiedy mógł czytać swoje wiersze w Teatrze Narodowym w Warszawie zaraz po takich wybitnych poetach jak Różewicz, Herbert czy Miłosz.

Zdaniem krytyków, fenomen poezji księdza Twardowskiego polega na prostocie i mistrzowskim wyrażaniu tego, co dane jest mu intuicyjnie poznać. Jan Twardowski był poetą uśmiechu i niemal dziecięcej naiwności, czym zjednywał sobie czytelników, a jak sam mówił – czasem budził ich sumienia. Pytany o swoją twórczość, ksiądz Twardowski mówił: „Wszystko cokolwiek mi się udaje nie jest moją zasługą. Gdy patrzę na życie, odnoszę wrażenie, że korzystałem z ciągłej protekcji Pana Boga.” Bogu zawierzył do końca i kilka godzin przed śmiercią poddyktował ostatni swój wiersz: *Jezu, ufam Tobie // Zamiast śmierci / racz z uśmiechem przyjąć Panie / pod Twe stopy / życie moje // jak różaniec*

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (65)

(fragmenty)



Prowincjonalność

Na czym polega dziś prowincjonalność? Na zamykaniu się przed światem, zacofaniu, parafianstwie, staroświeckości? A może na czymś zgoła odwrotnym? Że dajemy sobie biernie wszystko narzucać, wciskać? Że jesteśmy coraz bardziej płytki, a co za tym idzie jako naród małpiarscy, wtórni, naśladowczy, kopiujący bez składu i ładu cudze wzory, prądy, style, filmy, powiedzonka, książki, które wpadają do gąbki jak manna z nieba, jak pieczone gołąbki?

Bo są czasy, gdy Polak nie ma cierpliwości na oryginalną twórczość myślową i coraz chętniej czerpie z drugiej ręki, zaopatrując się w produkty kultury masowej importowane z krajów mających monopol na oryginalność, a przypomina to zakupy w sklepach *second hand* – na pęczki, za półdarmo, za ćwierćdarmo...

Nie za długo nie będziemy mieli nic swojego, osobnego. Wszystko będzie w nas – od stóp do głów – ściągnięte, zerżnięte. Będziemy chodzić w obcych wzorach jak w cudzych przechodzonych ubraniach, nawet się nie pytając, ile to z nami ma wspólnego. Bo kogo dziś stać w epoce globalnego małpiarstwa na bycie sobą?! To luksus, komfort, ale i zbyt duży wysiłek, wysiłek cierpliwości niezbędnej przy słuchaniu muzyki poważnej i refleksyjnym istnieniu. Wymaga za dużo zachodu, uporu, płynięcia niekiedy pod prąd, gdy wygodniej powtarzać za innymi mantrę życia, naśladować style bycia, ubierania, myślenia, programy telewizyjne, sztukę, muzykę, ba, nawet poezję.

A że się traci przy okazji poczucie tożsamości? Że odczuwa się nieznośną lekkość bytu?

Ach, to przecież imponderabilia...

Kto wie, czy nie największym prowincjuszem jest więc dziś ten, kto stroi się na ekranie iw kolorowych magazynach – bez żenady, bez zawstydy, na wyprzedki – w

cudze piórka? Może biedna prowincjonalność to dziś właśnie ta pozorna postępowość, bierna uległość wobec globalistycznego naśladownictwa, czyli procesu polegającego na idealnym wypraniu mózgow z tego co indywidualne, odmienne – i na dążeniu do identyczności?

A jeśli tak, to prowincjusze mieszkają dziś nie tyle w pipidówce – gdzie może akurat jeszcze przez przypadek zachowało się coś własnego – co przede wszystkim w dużych miastach, gdzie rozchodzą się lotem błyskawicy światowe echa nowinek kultury masowej.

A przecież marzyło nam się coś innego!

Pamiętam buńczuczne zapowiedzi polskich intelektualistów różnej maści, co my to nie damy Zachodowi pozbawionemu duchowości, po naszym wejściu do zjednoczonej Europy!

Ania Sobieska, współtłumaczka mojej hiszpańskiej książki, która ukazała się dwa miesiące temu w Gijon w wydawnictwie Trea, przysłała mi pochwalną recenzję pod tytułem *Podwajne życie*, autorstwa Jaime Silesa – jak twierdzi – „bardzo wymagającego krytyka”, a opublikowaną w „ABC” – wysokonakładowym dzienniku, jednym z trzech najbardziej poczytnych w Hiszpanii. Oto jej fragmenty:

Poezja najprostsza może być poezją o najbardziej złożonych sprawach, co nie znaczy, że prostota zawsze towarzyszy wysokiej jakości albo że o najbardziej złożonych sprawach można mówić tylko najprościej.

*Twórczość Józefa Barana (ur. 1947), polskiego poety jest jeszcze jednym tego dowodem (...). Co czynią ją tak interesującą? Myślę, że przede wszystkim coś, co wspólnego ma z *Seamusem Heaneyem* – jej fundamentem, u jej podłoża leży świat wsi; poza tym – wartość metafizyczną, jaką przypisuje powszedniości, co widać zwłaszcza w tomie *Dopóki jeszcze* (1976); jej pejzaż wewnętrzny, dyskurs ku wewnątrz; wreszcie ironiczna zaduma z elementami groteski (...).*

Baran jest poetą, o którym jego wrogowie mogliby powiedzieć: łatwy; jego przyjaciele zaś: duchowy. On sam wytłumaczył różnicę między tym, co intelektualne a tym, co duchowe, na polu poetyckości; wyraził swą wiarę, które z nich jest pryncypium rządzącym, porządkującym świat; podzielił poetów na dwa typy: czarowników i czarodziei. Ci pierwsi »przetwarzają świat w okrutną baśń o świecie absurdu i straszą czytelników, czym się da«; drudzy przeciwnie, »zaklinają świat w jakąś sensowną całość, pozostawiając miejsce na kreatywną nadzieję«.

Baran zalicza samego siebie do typu poetów-czarodziei, ponieważ jest poetą »zakorzenionym« (arraigado) w znaczeniu, jakie Damaso Alonso dawał temu słowu-klasyfikacji. Dla poetów zakorzenionych świat jest dla nich harmonią, nie chaosem i źródłem rozpacz; cechuje ich poezja pełna

intymnych emocji, opiewanie często bliskiego kręgu domowego – przykładem: Luis Rosales, Leopoldo Panero, Luis Felipe Viyanco, Rafael Morale (...).

W swych przekonaniach religijnych bliższy jest Bernanosowi niż Mauriacowi; ikonograficznym fundamentem jego poezji mogłoby być malarstwo Chagalla. Jeden z wierszy, »Matżeństwa«, można by określić jako »realistyczny«, ale tylko w tym znaczeniu, w jakim malarstwo Hoppera jest realistyczne, jeśli założymy, że istnieje realizm estetycznie bardzo wydajny i cenny. Baran jest bardziej realistyczny – związany z rzeczą, niż kulturowy – uwikłany w kulturę, literaturę, co pozwala mu mówić o rzeczach jak o osobach, wkładać w usta rzeczy to, co związane jest z monologiem wewnętrznym (...).

Pełne czułości przywoływanie nieobecnych w »Rzece« albo opowieść o ojcu w szpitalu – ukazują go jako poetę bardzo ludzkiego, który wierzy w »spadochron duszy« i który, jak Emily Dickinson, wierzy, że poezja jest towarzyszeniem, wtórowaniem »codziennej ziemskiej krzątaniu« i dawaniem nadziei szarej ludzkości (...).

Jego wizja wieczności jest unikatowa. Antoine Compagne mówił o »drugiej ręce«, aby określić sztukę cytatu, Benn o »podwójnym życiu«, Baran mówi o drugim życiu. Wiele z jego wierszy jest tym właśnie, są jakby formami drugiego życia, które nas przygotowują do spotkania Niewidzialnego (...).

Niedawno ukazał się też w Podkarpackim Instytucie Książki i Marketingu mój zbiór polsko-angielski „Only”. „So Much” w przekładzie Ewy Yarbrough. Jej mąż, Steye Yarbrough, wzięty powieściopisarz amerykański i wykładowca literatury na stanowym Uniwersytecie Kalifornijskim we Fresno, zaszczylił mnie słowem wstępnym, w którym też podkreśla „proste piękno” i „niemodną wręcz przystępność” moich wierszy. Prostota, łatwość? Niemodna przystępność? Czyżbym tak bardzo odbijał od statystycznego tła i hermetycznej normy w Polsce, w Stanach i Hiszpanii? Czyżby normą stało się już we współczesnej poezji, że „ćma ćmi ćmę”?

A może jest coś nienormalnego, że trzeba się tłumaczyć z prostoty i komunikatywności na tej zasadzie, na jakiej prosty musi się tłumaczyć w krainie garbatych z tego, że nie ma garbu?

Nie wiem, o co idzie, ale rzecz wydaje się co najmniej zastanawiająca. Dokąd zabrnęliśmy? W moim mniemaniu prostota to nic innego tylko celność wypowiedzi.

Poeta jak mistrz łucznik powinien pojąć sztukę trafiania w same dziesiątki.

cdn.



Poezja prawdą artysty

Nierzadko malarze, rzeźbiarze, architekci, czy lekarze piszą oryginalne i solidne wiersze, ale i dysponują precyzyjnym warsztatem literackim. Z taką sytuacją mamy do czynienia w przypadku krakowskiego malarza i plastyka **prof. Janusza Trzebiatowskiego**. Jest on wybitnym malarzem, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, ale i profesor malarstwa, choć zajmuje się także rzeźbą, scenografią, medalierstwem i plakatem, ale również sztuka literacka nie jest mu obca – głównie poezja. W roku 2015 ukazał się już 12. tomik tego wybitnego artysty, który z lubością para się właśnie poezją i widzi w słowie poetyzującym świat pewnie interesującą przedłużenie swej wielorodnej działalności plastycznej.

Tom krakowskiego artysty nosi tytuł – „A MOŻE, raz jeszcze powiesić Chrystusa...”, a składają się na niego wiersze o charakterze gnomicznym, w których poeta chce wyrazić pewne prawdy o sztuce i powołaniu artysty. Całość została dopełniona fragmentami prac plastycznych autora oraz upoetyzowanymi tekstami swych wypowiedzi na temat twórczości: Jacka Dawidowskiego, Jerzego Madejskiego, Adama Zielińskiego, Zbysława Maciejewskiego, Stanisława Mazusia, Heleny Tchórzewskiej, Kai Soleckiej, ale i spotkań warsztatowych z młodzieżą poszukującą ducha twórczego. Jako Kaszuba poeta stara się podkreślić dumę ze swego etnicznego pochodzenia, które określiło twardość jego charakteru, ukształtowało zarys jego osobowości twórczej, ale i określoną wrażliwość estetyczną, z której czerpie do dzisiaj swe inspiracje artystyczne. Doświadczenie twórcze przekonało go, że istotną kwestią dla twórcy jest umiejętność patrzenia na świat i siebie w nim, bo jest ono zawsze przypadłością indywidualnego ludzkiego, nigdy nie powtarzająca się. Dlatego życie ma wtedy sens, gdy uczestniczy się w tworzeniu „świata Sztuki / i Piękna” – podkreśla Trzebiatowski. W wierszu pt. „Obraz” pisze on: „obraz / jest bytem / samostnym // z obszarów / świata duchowości”, zaś wystawiennictwo jest dla artysty „obnażaniem się”, ale „nie ciała / a Duszy”, by w wierszu – „Artysta” dokonać takiej oto konkluzji: „Artysta powinien / stwarzać rzeczywistość / na nowo / tworzyć / poezję życia / nawet / jeśli jest / szaleństwem”.

Poeta-malarz nie ma wątpliwości, że: „jeśli istnieją / bogowie / to obnażają się / w Sztuce”, bo np.: „malarstwo / to dowód istnienia / Absolutu / a nie / odbicie / rzeczywistości” – stwierdza kategorycznie.

Choć zdaje sobie sprawę, że tworzenie sztuki stawia artystę na równi z bóstwem, to jednak sądzi, że czas teraźniejszy nie jest przyjazny dla rozwoju sztuki, choć z drugiej strony wie, że jej ziarna zakiełkują dopiero po

półwieku, a może nawet później, i stąd wynika dla niego powinność tworzenia. Sam Bóg transcendentny jawi się mu jako miłość, a więc tworzenie i kochanie jest formą wchodzenia w jego królestwo, natomiast śmierć jest zjawiskiem najbardziej intymnym. Pochwała więc nagość jako „rzecz naturalna” natomiast ubiór jest dla niego formą erotycznego wyuzdania. Spoglądając w kosmos jest przekonany, że nie ma on charakteru materialnego, ale duchowy i dlatego tak ważną jest globalna humanistyka, której sztuka może być uniwersalnym językiem porozumiewania się ludzi. Wie również, że brutalizacja życia, polityki, religii, jest przyczyną upadku kultury duchowej, jednak w sposób stoicki stara się być dla ludzi wyrozumiały i stwierdza, że: „życie / składa się z sumy / popełnionych błędów”.

Do polskiej demokracji ma krytyczny stosunek, bo sądzi, że zamyka ona ludzi w klatki jak zwierzęta, które coraz bardziej są sobie niechętnie i agresywne. Sztuka – według poety – jest kosmosem „i taka jej percepcja / jak przestrzeń / kosmosu / w każdym z nas”, co w jakiś sposób pozwala zrozumieć ów zdystansowany stosunek artysty do naszej współczesności. Podkreśla, że nie religia, ale właśnie sztuka prowadzi do wieczności, a jedynym Bogiem człowieka jest właśnie sam człowiek w jego rzeczywistości.

W wierszu pt. „Poezja” poeta z ironią konstatuje, że: „Pisze się / nie dla ludzi / a dla bogów // którzy / rzadko czytają”.

W wierszu-gnomie pt. „Mniemam” Trzebiatowski dekoduje tytuł swego tomiku, co wyjaśniają następujące wersy: „gdy / powieszono Chrystusa / motłoch wył / bis”.

Nie trudno zauważyć, że ten mini-utwór zawiera stosunek autora do twórczości, jak przysłowiowej „manii twórczej” według Platona, bo podobnie jako on pogardza tłumem i poetami nieświadomymi własnego przekazu twórczego, czyli nie rozumiejącymi, co rzeczywiście pisze i z czego „wyje tłum”. Przy okazji pochyla się refleksyjnie nad losem Żydów, ale i wskazuje ich prominentnych przedstawicieli ducha ludzkiego: Jezusa, Einsteina, Chagala i Rubinsteina. Twórczość pozwala autorowi wzbijać się do Boga, ale z tej perspektywy możliwego obcowania z Nim, kościoły stają się coraz mniejsze, a wyznawcy w nich są w stanie nawet „jeszcze raz / powiesić Chrystusa?” Opisując meandry, ale i zasady własnej twórczości opartej na „miłości do Absolutu” i „rozmowy z Nim”, autor z ironią dodaje: „jestem pogromcą smoków / cóż / że wyginęły”.

W wierszu zamykającym tomik pt. „Dzieło” poeta mocno stwierdza, że: „piękno budowane przez formę / bez przesłania intelektualnego / jest tylko namiastka / piękna i dzieła”.

Warto na zakończenie nadmienić, że artysta ma szczególnie stosunek do losu Żydów w czasie holokaustu, ale i ich losów powojennych, bo zdaje sobie sprawę, że to doświad-

czenie bardzo mocno odcisnęło się na ich osobistych życiorysach i losach, ale i na kulturze europejskiej. Podobnie z dystansem odnosi się do nowych ideologii solidarnościowych, krytykujących realny socjalizm, które nie rozumieją rzeczywistości powojennej, zaś ich demagogia staje się niebezpieczną dla przyszłości społeczeństwa polskiego.

prof. Ignacy S. Fiut

Janusz Trzebiatowski, „A MOŻE raz jeszcze powiesić Chrystusa... Który umarłeś za życie moje. Zapiski o sztuce i życiu”. Posłowie: Maciej Naglicki, Wydawca: Muzeum Janusza Trzebiatowskiego w Chojnicach, Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 144.

Eros z filiżanką kawy

Sfera zachowań erotycznych zaowocowała całą masą sygnałów kulturowych, dalekich od pierwotnych form kodu seksualnego. Sygnały te jednak nie dają pewności, że są właśnie takimi, za jakie gotowi jesteśmy je uznać. Skrępowana przez kulturę erotyka staje się źródłem cierpienia, sferą niepewności, która potrafi przerodzić się w rezygnację, wywołuje lęk, a czasem – agresję. Wrocławski poeta **Janusz Styczeń**, autor utworów poetyckich, w których odniesienia do sfery intymnej pojawiają się zarówno w jego poezji jak i w dramacie, podejmuje próbę umieszczenia w jednym zbiorze poetyckich obrazów różnorodnych zachowań, w których wyraża się tytułowa „Furia instynktu”. Ten dość szczególny tomik jest właściwie swoistym traktatem, w którym autor nie pisząc językiem psychologii czy psychiatrii, a językiem poezji, uruchamia w wyobraźni czytelnika całe spektrum sytuacji związanych z erotyką, a jednocześnie owe sytuacje, *momenty* (zachowujemy dwuznaczność tego wyrazu), mające w sobie soczystość konkretną, podnosi do rangi zdarzeń ową konkretność przekraczających i stawiających pytanie o ich sens.

Pożądanie i etykieta

W poetyckiej rekwizytorni tego zbioru pojawia się filiżanka kawy. Konotacje tego desygnotu są wielorakie i mogą być różnie pojmowane w różnych kręgach cywilizacyjnych. W świecie Zachodu kawa stała się początkowo znakiem kojarzącym się z elitarnością. Zresztą także dzisiaj kawa jest uznawana za „napój inteligentki”. Pije się ją w biurach, pokojach nauczycielskich, na konferencjach biznesowych i naukowych. Jednak kawa jest dzisiaj, gdy spojrzymy na picie tego

(Dokończenie na stronie 18)

Eros z filiżanką kawy

(Dokończenie ze strony 17)

napoju w kategoriach kulturowych, bardziej wyrazem pewnego snobizmu niż elitarności. Picie kawy to wszakże też rytuał wymagający czasu, ale dający zajęcie rękóm i stanowiący z jednej strony most łączący między wspólnie pijącymi ją ludźmi, a z drugiej – barierę, która od drugiej osoby jako odgradza, tworzy warstwę bezpieczeństwa w sytuacji kontaktu. Kawa jest też, jak u Stycznia, swoistym fetyszem, sugestią, nie wyrażoną wprost deklaracją o erotycznym wyrazie, zaproszeniem do flirtu. Już w pierwszym z wierszy „Furii instynktu” pojawia się kelnerka niosąca filiżankę kawy:

*dziewczyna niesie filiżankę kawy, nie spiesz się,
kiedy doniesie kawę na miejsce, historia skończy się.*

(„Dziewczyna niosąca filiżankę kawy”)

Banalny fakt prowokuje poetę do napisania traktatu. Styczeń zatrzymuje to wydarzenie w bezmiarze Czasu i nadaje mu status trwałości. Już na pewno ono w nim pozostanie, nie ulotni się, nie zniknie. To uświadomione poczucie niezniszczalności owej chwili, gdy dziewczyna niesie filiżankę kawy, staje się źródłem dostojeństwa tego momentu, który widzimy jak kadry filmu pokazywanego w zwolnionym tempie:

*Wszyscy podziwiają jak dziewczyna idzie przez
Czas,
a może obok Czasu,
jak się nie śpieszy,
Jakby sam czas ją podziwiał i się uśmiechał (...)*

Wydarzenie staje się już w trakcie jego trwania faktem autonomicznym wobec konkretnej rzeczywistości, przekracza ramy powszedniości, staje się ideą niesienia filiżanki kawy. Filiżanka niesionej przez dziewczynę (kelnerkę?) kawy jest sytuacją tak często obserwowaną, powtarzalną, że nagle przestaje być jednostkowym aktem. Jest zdarzeniem wychylonym w wieczność. Staje się uniwersum wyrzutyk teraz – dla nieskończoności. *Jakby sam Czas pozwalał dziewczynie spokojnie i powoli, / tak zupełnie poza Czasem, / tę kawę do siebie, Czasu, donieść.*

Filiżanka staje się fetyszem. Jej fetyszyzacja dokonuje się mimowiednie. Obecna w jako przedmiot w rozlicznych sytuacjach damsko-męskich utrwała się w pod/świadomości jako ich niezbędny kulturowy rekwizyt. Może być filiżanką herbaty, jak w wierszu „Wilgotne naczynie”. Tytuł utworu niewątpliwie korzysta z dość mocno utrwalonego erotycznego zabarwienia tego wyrażenia. Obraz dziewczyny nalewającej herbatę do filiżanki stanowi kwintesencję kobiecej samotności. Powiedzmy szczerze – samotności spragnionej erotycznych doznań, niezaspokojonej, pełnej

oczekiwania na pieszczotę, otwierającej się na nią delikatnie swoim *wilgotnym naczyniem* (świadoma ambiwalencja znaczeń w wierszu), dyskretnie naga w ścianach swojego pokoju, przed lustrem odbijającym ją razem z dzbanem pożądaną, którym chciałyby przywołać, wzbudzić pożądanie mężczyzny:

*(...) chciałaby podać tę filiżankę nieobecnemu
mężczyźnie,
trzyma ją napełnioną herbatą,
pięści filiżankę jakby to było inne naczynie,
napełnione miłością aż po brzegi,
i jakby to swoje cielesne naczynie
dziewczyna wystawiała ponad stół
(...)
Dziewczyna przybliżyła do okna
napełnioną filiżankę,
jakby chciała, żeby jej naczynie miłosne
było widzialne z daleka (...)*

Owo *naczynie miłosne* krzyczy swoją obecnością w oknie do upragnionego spotkania z mężczyzną, do ciała mężczyzny (co wynika w sposób dość oczywisty z dwójakości rozumienia wyrażenia użytego w tytule i w wierszu). Napełniająca się pożądaniami, przelewającą się w nim *furią instynktu*. Instynkt ten wciąż jednak będzie tkwił ujarzmiony ograniczeniami etykiety i mechanizmami wewnętrznego hamowania w dzbanie jej nienasyconego ciała.

Furia dyskretna

Relacje płciowe między kobietą i mężczyzną to nieustające zmaganie instynktownych pragnień z formami zachowań wymuszonymi przez normy społeczne. Zmaganie między naturą i kulturą. Janusz Styczeń bada poetycko owo napięcie między tymi przestrzeniami, interesuje go moment przekraczania niepisanej granicy, która za każdym razem jest inna. Nagość jest sama w sobie sygnałem erotycznym. Nawet skryta pod suknią, zasłonięta. Ale czy nagość zasłonięta to jeszcze nagość? Wydaje się, że dla Stycznia – tak. To nagość wydobywana wyobrażeniem, pożądaniami. Kobieta jest mniej naga, gdy jest sama. W obecności mężczyzny jej nagość wzrasta. Potęguje ją uwarunkowana kulturowo semantyka seksualności. Można się jednak nią znużyć, zawiesić. I spojrzeć na nagą kobietę jako istotę, która obnaża się z ciała, żeby pokazać swoją sferę duchową, duszę. Nawet jeżeli to wyobrażenie samej kobiety o własnej nagości:

*Kobieta wygląda jak rzeźba siedzącej kobiety,
zastanawia się, jakby to było, gdyby rzeczywiście
była rzeźbą
i gdyby ktoś usiłował ją przedstawić w tej pozycji
przed oknem
i gdyby nie mógł jej ruszyć
i gdyby musiał oswoić się z tym, że ona
zawsze z tego fotela będzie wyglądała przez okno
na świat nocy (...)*

(„Kobieta nocna kobieta dzienna”)

Sam tytuł wiersza, będący jakąś reminiscencją tytułu znanej powieści współczesnej

pisarki, sugeruje odmienną sytuację egzystencjalną tej samej osoby o różnych porach dnia. Kobieta potrafi stać się rzeźbą (Pigmaliion?) ożywianą „furią instynktu”. Ale może być dostrzeżona jako naczynie i to nie tylko w jego wzniosłym poetyckim znaczeniu, ale także jako seksualny manekin:

*Mężczyzna doznaje tak wielkiej obecności kobiety,
jakby kobieta wypełniała cały pokój,
jakby w tym pokoju mężczyzny nie było,
jakby oglądał kobietę zza okna,
i na chwilę nieruchomieje z przerażenia,
że to manekin, że to wielka erotyczna lalka,
kobieta jakby to potwierdzała,
na chwilę znieruchomiła z podwieszoną w rękach,
jakby się zastanawiała, czy zostać lalką,
wielką, erotyczną,
Czy stać się z powrotem kobietą (...)*

(„Kobieta wdzwiewająca pończochy”)

To jakby doznanie dwóch skrajności. Pokój wypełniony przez kobietę (jej kobiecość rozpisana na setki rekwizytów istniejących w mieszkaniu), ożywiony jej obecnością, już samym wystrojem uruchamiający pewne skojarzenia, by w jednej chwili sama kobieta została urzeczowiona. Jej obecność w pokoju staje się martwą obecnością manekina, a nawet jest to obecność erotycznej lalki, służącej jedynie do zaspokajania elementarnego seksualnego popędu. W tomiku Stycznia kobiecość jest rozpisana na wiele głosów. Od niewinności dziecka po wulgarność prostytutki, od czułości i wzniosłości po brutalność i upodlenie. Wiersze w „Furii instynktu” stanowią bogatą galerię zachowań, których ujawnia się ślepy instynkt niejednokrotnie ubrany w bogate i ciężkie szaty kulturowego kodu, ukryty za gestami, pod warstwami ubioru, ukryty w milczeniu, oczekiwaniu, w słowach i nagłych odruchowych erotycznych zachowaniach. Niejednokrotnie to są obrazy furii wyhamowanej, płonącej nienasyconym ogniem w ciele bez możliwości natychmiastowego spełnienia. To feeria różnych sytuacji, w których seksualność jest albo bezpośrednia lub – niekiedy – zamaskowana. A może to wszystko jest doświadczaniem seksualności cudzej, która wydaje się intensywniejsza, barwniejsza i ciekawsza, niż możliwość fizycznego spełnienia z osobą będącą tuż obok? Chociaż bohaterkami wierszy są kobiety, to przecież wciąż są oglądane męskimi oczyma. Oczyma chłopca, młodzieńca, doświadczonego mężczyzny, mężczyzny starszego. Czy tajemnica kobiety zostaje tu jako odsłonięta, zdemaskowana? Wydaje się, że Janusz Styczeń nie ma takiego zamiaru. Kobieta wciąż pozostaje jakoś nieodgadniona w tej swojej skrytej „furii instynktu”. Nawet brak drugiej osoby zostaje wypełniony jej wyobrażeniem („Nieustające rozstanie”).

Czas zagubiony w czasie

Człowiek nie jest w stanie się uwolnić od pragnienia, które jako tabu oplata siecią

znaków, stereotypowych zachowań, dających się odczytać (bo właśnie po to jednak są rozpoznawalne, żeby wzmocnić siłę erotycznego przyciągania). Nawet śmierć osoby, z którą wiązały się uczucia, nie zamyka erotycznych wspomnień, które ulegają nawet pewnej sublimacji („Szminka”). Podobnie we śnie. „Zamyślona Penelopa” nie pamięta sennych wędrówek i spotkań z Odyseuszem. W tym wierszu znów ujawnia się niepewny status Czasu, jego epistemologiczna nieuchwytność. Twarz Penelopy jest twarzą ponadczasową, twarzą wszystkich kobiet oczekujących na swojego męża. Ta powtarzalność właśnie (od niesienia filiżanki się zaczynająca) gestów, twarzy, sytuacji stawia Czas pod znakiem zapytania. Bo może go po prostu nie ma. Może wciąż trwa to samo w rozlicznych kombinacjach, jakby czas wciąż płynął i nie mógł dopłynąć:

*Czas jest Odyseuszem, który do niej płynie,
i nie może dopłynąć,
jakby czas zapomniał o sobie,
o tym, że musi być Czasem (...)*

(„Zamyślona Penelopa”)

Czas pozostaje tajemnicą. Wymyka się ludzkiemu postrzeganiu, przekracza jego granice. Nawet fakt śmierci niczego nie zamyka ostatecznie. Czas bowiem trwa ale niekoniecznie jako kontinuum lecz jako kategoria, którą by należało nazwać bez-czasem. W wierszu „Tutanchamon” jego bohater cieszy się swoim nowym – pośmiertnym – statusem, który chciałby widzieć jako spoczynek = odpoczynek wieczny. Bezczasowość tej sytuacji nie zapewnia mu jednak komfortu nieistnienia. Brak poczucia upływu czasu uniemożliwia smakowanie zdarzeń świata, a nawet tego, czego faraon doświadczył podczas życia. W nie-życie faraona wkracza jednak ponownie czas wraz z ekipą archeologów, którzy weszli do jego grobowca po trzech tysiącach i dwustu latach. Podobnie w wierszu „Śmierć gwiazdy” przedśmiertny okrzyk znanej kobiety (gwiazdy, artystki) zamienia się w ciszę *jakby sam Czas też ucichł, tak bardzo / że cały zmieścił się w dalekim kamiennym Sfinksie.*

Eros ukryty w pamięci

Miłość kobiety trwa nawet po śmierci ukochanego mężczyzny. Łączą go z nią nici wspomnień, wypełniające jej czas. Ta obecność intensyfikuje się w momencie otrzymania przez nią listu od niego, już nieżyjącego. Ich wzajemna komunikacja wciąż trwa. Przeradza się w potencjalny dialog, który dopełnia dotychczasowe relacje dwojga osób. Jest kodą jedynie dla dotychczasowej sytuacji egzystencjalnej związku, bo jednocześnie otwiera jej nową, wysublimowaną, ale niepozobawioną cielesnych odczuć fazę. To przedmioty potrafią zatrzymać to co minione, wydają się trwałsze od wydarzeń i ludzi. W jednym z kolejnych wierszy znów pojawia się filiżanka –

pamiętka i świadek erotycznych związków:

*(...)
kładał usta na śladzie jej ust,
całował ją poprzez filiżankę, (...)
całując ślad jej ust jakby płytę grobową odsuwał
i jej umarłe usta całował(...)
brał filiżankę, starannie owijał w papier,
siedział na cmentarzu i nad jej grobem
wyjmował filiżankę, całował jej usta,
i widział jej duszę, jak na to patrzy,
jak uśmiecha się smugami słońca(...)*

*(...)
już wie, że pieczęć ust zmarłej
Jest na całym jego życiu.*

(„Szminka”)

„Furia instynktu” Janusza Styczenia jest dość szczególnym poetyckim zapisem. Razem ten ciąg wierszy stanowi swoisty traktat, którego tematem jest uczucie i fizyczne pragnienie, tęsknota za erotycznym kontaktem, także smutek wynikający z fizycznego i duchowego niespełnienia. Autora interesuje tajemna zależność pomiędzy opisywaną sferą życia a czasem, który stanowi tu czynnik immanentny a zarazem autonomiczny. Może „furię instynktu” rozpałać, a może ją gasić. Ludowa mądrość podpowiada, że miłość jest jak ogień; rozstanie małe uczucie gasi, a wielkie rozplomienia. Bohaterowie tych wierszy zdają się potwierdzać tę prawdę. W wierszach jest mowa o pożądaniu, o jego przenikaniu ciał i dusz nawet w sytuacjach oficjalnych. Styczeń tę kolekcję damsko-męskich (ale także damsko-damskich) relacji uzupełnia o obrazy posępne i mroczne, jak z Dostojewskiego (choćby „Nocny klient”). Jakby chciał wskazać, że *furia instynktu* potrafi sobie znaleźć ujście w formie sprymitywizowanej i okrutnej. Jakby chciał objąć jak najszersze spektrum tego problemu. Ten zbiór obrazów dorastał w wyobraźni poety chyba od dawna. Przynajmniej od wydanych w 1989 roku „Liści księżycy”, gdzie, jak można zauważyć, pojawiają się podobne ujęcia i ten sam język poetyckiego opisu, w którym realizm komentarza otulony jest w tropy i rekwizyty wyraźnie liryczne, a sam poetycki komentarz unika oczywistości. Janusz Styczeń buduje obrazy indywidualnego doświadczenia, ukazując jednocześnie ich archetypiczność, typowość. Stają one bowiem w szeregu takich samych zachowań. Ich podobieństwo podkreślają określone rekwizyty czy gesty, z których najbardziej charakterystyczna jest pojawiająca się wielokrotnie filiżanka kawy. Czas, w którym czynności są powtarzalne, zaczyna gubić swój linearny porządek. Jego status staje się niepewny, a obrazy sytuacji są jakby swoistym *deja vu*. Eros ukazany w „Furii instynktu” jest splewany konwenansem, wyhamowany, powściągliwy. Krąży poskromiony i opanowany w żyłach ciemną strugą pożądania albo unosi się dyskretnie jak zapach wypijanej małymi łykami świeżo

zaparzonej kawy.

Jan Owczarek

Janusz Styczeń, „Furia instynktu”. Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 84.

Nie tylko aktor

Ta książka, której bohaterem jest Piotr Fronczewski ma dziwną moc, prawdziwy magnes. Nie można jej postawić na martwej i zapomnianej półce, gdyż czytając zapis rozmowy Marcina Mastalerza z Piotrem Fronczewskim słyszymy piękny głos wybitnego aktora, podziwia się jego mądrość i dystans do swych artystycznych dokonań. A było ich bardzo, bardzo wiele.

Marcin Mastalerz wyliczył, że Fronczewski wystąpił w 87 filmach i 117 spektaklach Teatru Telewizji nie licząc seriali z jego udziałem. Można rzec, że to aktor, rekordzista i wyczynowiec. Opublikowana rozmowa ukazuje bogatą osobowość wybitnego aktora, jego życiową mądrość. Fronczewski to po prostu mądry człowiek, a nie tylko aktor.

Pięknie mówi o swojej matce, o Bogu i kościele ma do siebie samego obiektywny dystans. Oto jego słowa: *Zawsze patrzyłem na siebie raczej krytycznie niż z czułością. Raczej miałem wobec siebie pretensje niż tendencję do składania sobie gratulacji. Teraz to się tylko wyostrzyło. Gdy patrzę wstecz, nie jestem w stanie przypisać sobie jakichś istotnych zasług, nie widzę żadnego dobra, którego byłbym autorem, dość marnie o sobie myślę. Gdy stoję przed lustrem, widzę gościa, któremu mam do powiedzenia właściwie tylko niemile rzeczy. Wydaje mi się, że mógłbym i powinienem być lepszy. Ale czy to w ogóle jest w moim zasięgu?*

Fronczewski opowiada, że w jego życiu zawodowym Gustaw Holoubek był dla niego najbliższym mu człowiekiem. Ufał mu bezgranicznie. Traktował jak mistrza. Obaj uważali teatr za dom prawdy. Nie dziwi wypowiedź Fronczewskiego zanotowana przez Marcina Mastalerza:

Odebranie niedawno Teatrowi Dramatycznemu imienia Gustawa Holoubka uważam za barbarzyństwo, dowód absolutnego braku klasy i elementarnej kultury tych, którzy tę decyzję podjęli. Gustaw na takie draństwo nie zasłużył.

Rozmowa zatytułowana „Ja, Fronczewski” skrzy się od dowcipów i anegdot, daje utraconą przez nas wielu – radość z życia.

Emil Biela

„Ja, Fronczewski – Piotr Fronczewski w rozmowie z Marcinem Mastalerzem”. Wydawnictwo Znak, Kraków 2015.

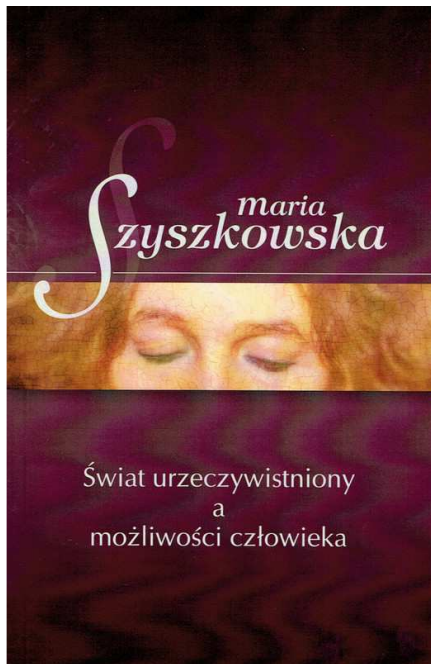
NOWE KSIĄŻKI

Marii Szyszkowskiej

Świat urzeczywistniony a możliwości człowieka, to kolejna książka prof. Marii Szyszkowskiej, filozofa, naukowca, polityka, działaczki społecznej, wspaniałego człowieka i autorki niezliczonej liczby książek, stworzonej przez nią tzw. filozofii codzienności. Jest to książka o człowieku, jego kondycji na przestrzeni dziejów, uwarunkowań historycznych i sposobach przezwyciężania przez niego problemów współczesnego świata.

Prof. Maria Szyszkowska mówi nam w swoim najnowszym dziele o pogłębieniu życia przez nas wszystkich, którzy nie wierzymy w jakiegokolwiek prawdy objawione czy dogmaty, preferując rzetelne poznawanie przyrody, ludzi i siebie samych, zaś naturalny zachwyt pięknem świata i wszystkim, co się z tym wiąże, jest nam coraz bardziej obcy. To książka niezwykle mądra i potrzebna, szczególnie w czasach, kiedy drugi człowiek, staje się nam coraz bardziej obcy...

Andrzej Dębkowski



Maria Szyszkowska, *Świat urzeczywistniony a możliwości człowieka*. Rysunki i zdjęcie na okładce: Jan Stępień. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2016, s. 192.

Witolda Gapika

Witold Gapik napisał książkę niezwykłą, pełną pasji i niezwykłych emocji. Mistrzowsko przedstawił ludzi i miejsca położone

wokół gór Kaukazu i krajów byłego Związku Radzieckiego na pograniczu, Rosji, Chin, Pakistanu, Afganistanu i Iranu. Zanurzył się w klimat codziennego życia, kultury, historii i tradycji ludów mieszkających na terenach fascynujących, ale i bardzo trudnych.

Przedstawione historie są momentami tak niewiarygodne i dramatyczne, że zastanawiamy się, czy one rzeczywiście mogły mieć miejsce. Książka ta z pogranicza reportażu, powieści lotrzykowskiej i opowieści z dalekich krajów, wciąga tak bardzo, że nie daje nam choćby na chwilę oderwać się od niej.

Liliana Łungina, wybitna rosyjska tłumaczka, powiedziała kiedyś: *Życie nauczyło mnie, że odwaga intelektualna przychodzi o wiele trudniej niż fizyczna, niż przezwyciężenie strachu o własną skórę. Łatwiej jest ryzykować życie, niż przyznać się przed sobą, że droga, którą się szło, była błędna.*

Witold Gapik wyznaje tę samą zasadę i to z doskonałym skutkiem dla czytelnika...

Andrzej Dębkowski



Witold Gapik, *Pijany martwym Gruzinem*. Redakcja: Andrzej Dębkowski. Projekt okładki: Monika i Witold Gapikowie. Fotografie w tekście z archiwum Autora. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2016, s. 370.

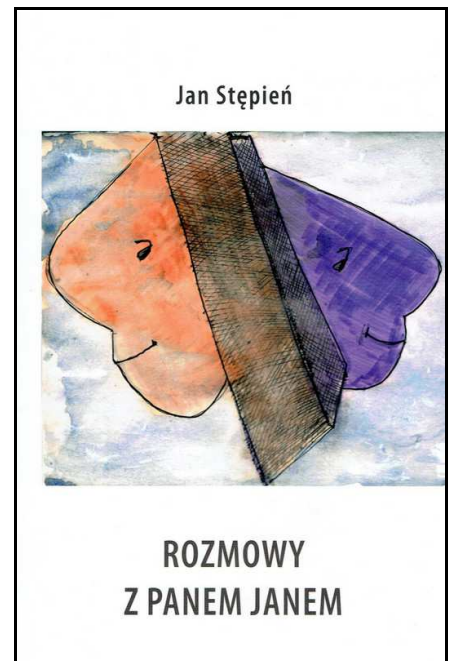
Jana Stępnia

Jan Stępień jest artystą nietuzinkowym, a w zasadzie należałoby powiedzieć, że już takich praktycznie nie ma. Zawsze z daleka od wielkich miast, jakby trochę wyobcowany z obiegu współczesnego świata, jakby chciał powiedzieć, że tak naprawdę to nic mnie obchodzi, chcę żyć w swoim świecie, świecie bez zła, przemocy i w zgodzie z naturą. Pomimo tego wszystkiego ten podnałęczowski poeta, dramaturg, rzeźbiarz i myśliciel bacz-

nie obserwuje to, co dzieje się wokół nas.

Rozmowy z Panem Janem, to kolejna książka Stępnia z miniaturami o... ŻYCIU... A Jana Stępnia interesuje dosłownie wszystko: polityka, sport, los zwierząt, ważne wydarzenia, w ogóle nieważne wydarzenia, dosłownie wszystko. Dzięki temu otrzymujemy obraz Polski XXI wieku, taki najbardziej prawdziwy, nie wymalowany przez elektroniczne środki masowego komunikowania, nie przez celebrytów. A ponieważ autor *Okruchów dnia* i *Smaku zdarzeń* potrafi być doskonałym obserwatorem, to i mamy świetną książkę pomocną do zastanawiania się nad upływającym życiem i czasem. Dla mnie to taki literacki rarytas...

Andrzej Dębkowski



Jan Stępień, *Rozmowy z Panem Janem*. Rysunek i zdjęcie na okładce: Jan Stępień. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2016, s. 88.



Rys. Barbara Medajska

Filozofia codzienności (112)



Ci ostatni nie weryfikują obiegowych poglądów, podlegają sterowaniu. Masę tworzą również osoby zaliczane do warstwy inteligencji, które odznaczają się wąskością horyzontów, nikłą wrażliwością i nadmierną specjalizacją. Można więc wśród masy odnaleźć nie tylko część chłopów i robotników, ale także na przykład aptekarzy, lekarzy, czy profesorów uniwersytetów. Ten, kto tworzy masę jest zainteresowany własnym dobrobytem i nie czuje więzi z tymi, którzy nie wchodzą w skład jego rodziny. Nie ma też poczucia odpowiedzialności za szeroki, nieznanym mu, krąg ludzi. Amerykanie są wyrazistym przykładem społeczeństwa złożonego głównie z masy, co nie przeszkadza nam bezkrytycznie przejmować wzorów płynących stamtąd włącznie z metodami marketingu aptekarskiego.

Masa nienawidzi tych, którzy są odmienni tworząc elitę. Szerzące się obecnie postawy konformistyczne, czyli rezygnacja z własnych wartości na rzecz spodziewanych wymiernych korzyści, mogłyby zostać przewyżczone przez aptekarzy. Cenna jest dla mnie aprobata dla tego poglądu wyrażona przez profesora Jerzego Masiakowskiego, bowiem dziś postawy społecznikowskie są dla wielu śmieszne, bo nieopłacalne.

Aptekarz jeśli wybrał ten zawód z powołania – urzeczywistnia w swoich działaniach zasadę równości. Zasada jednakowego traktowania wszystkich pacjentów stanowi warunek prawidłowego wykonywania tego zawodu. Trzeba to podkreślić, ponieważ działania firm farmaceutycznych prowadzą jako skutek do uprzywilejowania osób zamożnych. Reklamy drogich lekarstw skierowane są do tych, którzy mają większe dochody. W ludziach biednych powodują zwiększone poczucie bezradności. Apteki pozbawione reklam należą do wyjątków.

Niezbędni są aptekarze o silnym charakterze, to znaczy tacy, którzy umieją „iść w kierunku, który sobie wyznaczyli, chociaż »ich ciągnie« do czego innego, w innych kierunkach”, jak to określił Bolesław Gawecki, filozof XX wieku.

Farmacja powstała z powodu określonych potrzeb praktycznych. Ale pozostaje bezużyteczna, jeżeli zajmują się nią ludzie myślący o swoich interesach, pozbawieni chęci niesienia pomocy innym. W okresie międzywojennym

podkreślano, że apteki powinny stanowić wszechstronne i samodzielne placówki przemysłu farmaceutycznego; powinny pozostać wytwórniami lekarstw oraz miejscem fachowego ich wyboru, przechowywania i kontroli. Już w tamtych czasach stwierdzano, że nie wolno milczeć aptekarzom wobec zezwoleń na sprzedaż lekarstw poza apteką.

Niepokoiki dziś bierność środowiska aptekarskiego. Zacytuję pogląd nadal aktualny, aczkolwiek wypowiediany przed drugą wojną światową. Otóż świat wierzy wyłącznie w zbrojny pokój. W świetle tego urasta znacznie aptek, które są samodzielnymi wytwórniami lekarstw, zaopatrzone w środki opatrunkowe i dezynfekcyjne. Rozmieszczone na terenie całego kraju mogą w razie wojny przynieść pomoc.

Upadek moralny doprowadził do tego, że część osób spośród tych, którzy składają przysięgę Hipokratesa i mają obowiązek ratowania ludzkiego życia i zdrowia, jest zainteresowana tym, by toczyły się wojny. Mam na myśli przede wszystkim firmy farmaceutyczne, które odnoszą wielkie korzyści materialne w czasie trwania wojen. Następuje wzrost produkcji rozmaitych lekarstw, jak również na przykład bandaży i środków dezynfekujących.

Dewaluacja rangi aptekarzy – w porównaniu z latami międzywojennymi – wynika z tego, że przyciąga ten zawód osoby przypadkowe. Zapominają one, że lekarstwa nie są towarem. Aptekarz staje się rodzajem kupca, jeśli myśli przede wszystkim o zysku materialnym. Monopol aptek jest w pełni uzasadniony, jeśli uznamy wartość zdrowia i życia człowieka za podstawową i bezdyskusyjną.

Obecnie nikt nie sprawdza czy na przykład dziurawiec kupiony poza apteką odpowiada wymaganiom farmakopei.

Apteka, to widowia małego teatru w którym głównym aktorem jest aptekarz. Spojrzeniem, mimiką, słowem ma reagować na problemy chorego, który szuka pomocy. Wysiłku wymaga wysłuchanie w sposób świeży problemów nieznanego człowieka szukającego pomocy i doradzenie mu.

Prywatyzacja i tak zwany wolny rynek stały się niepodważalną wartością w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu. Prywatyzacja aptek nie przyniosła korzyści dla większości obywateli. Z punktu widzenia ludzi chorych bardziej korzystna jest sytuacja jeśli apteki są własnością państwa. Tak do niedawna było w Szwecji. Niepokojące jest to, że wystarczy dysponować odpowiednią sumą pieniędzy, by stać się właścicielem apteki. Taki przedsiębiorca jako niespecjalista nie podlega kodeksowi etycznemu aptekarza. Apteki stają się rodzajem biznesu. Przynoszenie zysku przeważa nad troską o ludzi chorych.

W Polsce od dwudziestu lat brakuje właściwej opieki zdrowotnej, co szczególnie odczuwają ludzie biedni i sędziwi. Z tego powodu ludzie umierają, chociaż mogliby żyć nadal. Utajony głód także pogarsza stan

zdrowia Polaków. Jest tu wielkie pole dla działań nie tylko aptekarzy. Ale tylko oni mogą merytorycznie uzasadniać, że groźne bywają dla zdrowia i życia skutki ulegania sugestywnym reklamom lekarstw. Nieetyczne jest także ośmieszanie bioenergoterapii oraz metod homeopatycznych w leczeniu, by ograniczyć się do tych przykładów.

Aptekarze jako mniejszość

Z reguły zagrożeniem dla mniejszości jest większość. W przypadku aptekarzy sytuacja jest odwrotna. Jest to mniejszość, obecnie milcząco zagrażająca pozostałej większości. Jest to tym bardziej zaskakujące zjawisko, że w latach 1918-39 aptekarze pełnili zaszczytną misję społeczną i stanowili do niedawna grupę, którą można było stawiać jako wzór do naśladowania. Stosunkowo nie tak dawno na szeroką skalę przygotowywali lekarstwa na podstawie recept, a nawet sami je wyrabiali, gdy pojawiał się w aptece ktoś z drobnymi dolegliwościami. Brali pod uwagę indywidualne parametry. Dziś to samo lekarstwo ma służyć milionom pacjentów, a każda choroba ma wszak wymiar indywidualny.

Każdy z nas może być pacjentem szukającym kontaktu z aptekarzem. Liczba poszukujących lekarstw wzrasta, ponieważ nakładania się do brania środków medycznych na każdą dolegliwość. Ponadto Unia Europejska doprowadziła do eliminacji ograniczeń w handlu, a więc do wolnej sprzedaży lekarstw.

Powstały również apteki internetowe. Są państwa, które ograniczyły możliwość reklamowania lekarstw. Żerowanie na chorych jest naganne. Zamiast informować lekarzy, natarczywie reklamuje się lekarstwa powodując lekomanie. Niebezpieczeństwo zawiera się także w tym, że interakcja niektórych lekarstw kończy się tragicznie.

Obecnie chorzy stali się środkiem w dążeniu firm farmaceutycznych do bogactwa. Dawniej firmy te nie były tak bogate jak obecnie i nie miały wpływu na świadomość chorych. Egoizm fabryk produkujących lekarstwa prowadzi do tego, że nie wahają się one użyć rozmaitych chwytów reklamowych w rodzaju zapowiedzi, że lekarstwo zdrożeje. Wywołują także presję psychiczną, by korzystać ze szczepionek, które w opinii części lekarzy i aptekarzy mogą nawet szkodzić. Reklama to coś znacznie więcej niż informacja. Nabywcy nie wybierają więc swobodnie lekarstw; są zniewoleni reklamami. Odporność ludzi chorych jest zmniejszona. Reklamowanie cudownych możliwości nowych lekarstw pada więc na podatny grunt. Zamiast opłacalności – ochrona zdrowia i dążenie do jego przywrócenia powinny kierować działaniami tych, którzy mają troszczyć się o pacjentów.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**I nagle zrozumiał**

Ja, głos zza pieca w *salonie mych myśli* do ciebie słu me pytanie framuga okienna, codziennie niecodzienna w *salonie mych myśli*. Co ciekawego słyszysz, co ciekawego widzisz na świecie patrząc z naszego okna *salonu mych myśli*. Patrząc na świat co widzisz, co słyszysz, co cię porusza i co ciebie wzrusza framuga okienna, codziennie niecodzienna. Usłysz mój głos i spełnij me marzenie.

Chwila ciszy wypełnia *salon mych myśli*, ale chwila jak to chwila, nie trwa wiecznie. Znad okrągłego stołu odezwał się on, złocisty kandelabr.

– Nasza framuga okienna, codziennie niecodzienna, zawsze widzisz to, i zawsze słyszysz to, co jej się podoba. Ze względu na to jest zawsze bardzo obiektywna. Chociaż są tacy, którzy mówią, że jest zupełnie przeciwnie. Cóż mamy robić, trzeba przyjąć zasady demokracji. Każdy ma prawo wyrazić swoje zdanie.

– „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje” – wesółym głosem woła framuga okienna, aby wszyscy słyszeli. Woła ten wzniosły modny szlagier polskiej prawicy, która obecnie sprawuje władzę w państwie. A całe okno ze śmiechu pęka.

– Nie pękaj koleś – radzi złocisty kandelabr znad okrągłego stołu.

– My wcale nie pękamy – odpowiada framuga okienna. My już ich widzimy. Idą do *salonu mych myśli*. Idzie Wiosna, idzie Luna, a między nimi nasz Autor komandor, a za nimi filozof Pan Nietwór i jego asystent Daniel Spaniel, który ma na plecach zielony plecak, a w plecaku zieleni nadziei.

– Nadzieja matka głupich. Nie dajmy się zwariować. To wiara, ręką cezara w Polsce góry przenosi – powiada framuga okienna. Oni już wchodzą do *salonu mych myśli*. Ciekawe co usłyszymy, ciekawe co zobaczymy.

– Nadzieja nie jest matką głupich. Nadzieja jest słoneczną potęgą mądrości, bez której nie

byłoby świata. Nie byłoby nas i naszego *salonu mych myśli*, a w tym salonie nie byłoby ciebie, framugo okienna, dziś taka wojenna – z uśmiechem wypowiedział swe zdanie filozof Pan Nietwór w ramach demokratycznych zasad polskiego społeczeństwa.

– A teraz w ramach tych samych demokratycznych zasad, ja, błękitnooka i złotowłosa Wiosna, jako współautorka *salonu mych myśli* przypominę światu i tobie framugo okienna, co 60 lat temu we Wrocławiu wyprawiali poeci, a ja razem z nimi. Głosiliśmy ludziom nasze wiersze, żeby wolność w Polsce była prawdziwą wolnością, prawo prawem, a sprawiedliwość sprawiedliwością. Żeby w imię przyjaźni narodów powstała zjednoczona Europa. Głosiliśmy ludziom nasze wiersze, a oni uczyli się ich na pamięć i powtarzali jak modlitwę, by słowem poety nasz świat ulepszyć.

*Czerwone i czarne
W podrzędnej knajpie tuż tuż o świecie
siedział poeta ot z ladacznicą
i pili wino podle jak życie
a policjanci biegli ulicą*

*Ktoś rewolucja krzyczał na rogu
wyglądał księżyc jak szubienica
a policjanci żelazną stopą
deptali czerwień krwi na ulicach*

*Wybiegł poeta błądy jak wapno
bombą rozwalil posąg tyrana
twarz mu zdeptali jak byle łajno
czarna policja czerwona plama*

*A kiedy wina zabrakło na stole
i oczodolem błysnęła szklanka
poszła dziewczyna zamienić symbole
czerwień poety w czerń policjanta*

– A teraz w ramach tych samych demokratycznych zasad, ja, piwnooka jak heban czarnowłosa Luna, jako współautorka *salonu mych myśli*, przypominę światu i tobie framugo okienna, co głosiłam ludziom na ulicach Wrocławia 60 lat temu, gdy w Polsce panował socjalizm, polityczna cenzura i żelazna kurtyna, która trzymała nas w niewoli rękami Związku Radzieckiego, a ten Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich powiadał: wara wam towarzysze i towarzyski, wara wam socjalistyczne społeczeństwa od tego zgniłego kapitalistycznego zachodu.

– A wtedy, gdy w pierwszych dniach października roku 1956, jeszcze przed historycznym VIII Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w ówczesnym mieszkaniu naszego Autora przy ul. Nowowiejskiej 27 m. 5, powstała sławna wrocławska grupa artystyczna „Dlaczego nie”, której członkami głównie byli poeci, a także aktorzy i plastycy. Wtedy ja wołałam na cały głos, by mnie wszyscy słyszeli”:

*Artyści
Wbiegli artyści na scenę
Jeden ryczał
że jest pijany szczęściem
pił tylko wódkę
Drugi zabił
prostytutkę młotkiem*

*chciał zabić sumienie
A trzeci umarł
z głodu
Plakały idiotki
bez powodu
Idiotci pisali wiersze
na pocieszenie
Leżał socjalizm
z długą brodą
w kącie
jak szczenię*

– I teraz na mnie przyszedł czas. Ja też jako współautor *salonu mych myśli* – powiedział Daniel Spaniel. 60 lat temu we Wrocławiu, nie chcąc obrazić, ani urazić żadnej dziewczyny, żadnej towarzyski, stojąc na moście Grunwaldzkim, patrząc na rzekę Odrę, głosiłem światu:

*Dziewczyna
Ładna dziewczyna
poszła w świat
bezmysłna dziewczyna
w modnej sukience
i chciała sprzedać
tanio jak barszcz
mikroskopijne serce
Ten ją oszukał
za darmo brał
tamten ją okpił
miała dziecko
Przyszedł poeta
i ten się śmiał
z oszukanego plebsu*

– Śmiech to zdrowie – powiedział filozof Pan Nietwór, jako współautor *salonu mych myśli*. Koń by się uśmieł, gdyby w *salonie mych myśli*, nasze okno na świat pękło ze śmiechu.

– „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje” – wesółym głosem zawołała framuga okienna.

– „Przyszedł poeta i ten się śmiał z oszukanego plebsu” – wesółym głosem zawołał głos zza pieca.

– „Poszła dziewczyna zamienić symbole, czerwień poety w czerń policjanta” – wesółym głosem zawołał złocisty kandelabr.

I uśmiechnęli się wszyscy współautorzy *salonu mych myśli*, bo prawdziwa poezja nigdy nie pęka. A co na to nasz Autor?

*Wyszedł z lasu i stanął przy drodze
las był lasem myśli
a droga była drogą świadomości
ale pogubił się dokąd miał iść
nikt mu nie pomógł i nikt nie poradził
chciał wrócić z powrotem do lasu
i nagle
i nagle zrozumiał, że las się już rozwał
że wiersz się już rozwał bezpowrotnie*

PS. Ten wiersz powstał w 18. dniu miesiąca stycznia roku 2016, na odcinku drogi Łągiewniki-Ząbkowice, gdy z moją żoną Krzysią jechaliśmy do Polanicy Zdroju z Wrocławia autobusem o 10:40 przed południem, a dzień był piękny i słoneczny. I tak pięknie, i tak słonecznie przeminął. I tylko ten wiersz, tak sobie jest, tak sobie jest, pomimo...

POEZJA

Anna Fabrowicz, *Swoją drogą*. Projekt okładki Rafał Bojdys. Opracowanie graficzne Justyna Siwik. Wydawnictwo Prasa Beskidzka, Bielsko-Biała 2015, s. 96.

Wojciech Kass, *Przestwór. Godziny*. Fotografia na stronie okładki Leszek Paradowski. Rysunek na IV stronie okładki Wiesław Szumiński. Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 118. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 64.

Konstelacja Toposu. Antologia poezji. Posłowie Jarosław Ławski. Wybór, układ treści Przemysław Dakowicz, Wojciech Kudyba. Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 119. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 224.

Anna Krasuska, *Ona i ja*. Opracowanie graficzne Marek J. Piwko. Na okładce wykorzystano zdjęcie rzeźby autorstwa Philippa Johnson i Henryka Topolnickiego. „Słask” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2015, s. 66.

Piotr Lamprecht, *Ewangelia gruzu*. Ilustracje Bartosz Kokosiński. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2015, s. 96.

Ewa Lipska, *Wiersze wybrane*. Projekt okładki, koperty płyty i nadruku na płycie Joanna Rusinek. Zdjęcie autorki Joanna Helander. Wydawnictwo a, Kraków 2015, s. 464 + CD.

Elżbieta Musiał, *Mówię pochyloną cambrią*. Obrazy na okładce i w książce Elżbieta Musiał. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2015, s. 56.

Struna Orficka 2011-2015. Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Wojciecha Bąka. Projekt graficzny Maria Szelaż. Ostrowskie Centrum Kultury, Ostrów Wielkopolski 2015, s. 80.

Mirka Szychowiak, *Gustaw znikąd*. Projekt okładki fotografie Rafał Babczyński. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 62.

Jacek Trznadel, *Nawet jeśli nic*. Projekt typograficzny Bernard Nowak. Grafika na okładce Andreas Vesalius, *Dissected human body*, 1543. Wydawnictwo Test, Lublin 2015, s. 80.

Jan Erik Vold, *Powiedział twórca snów*. Przetłumaczył Andrzej Słomianowski. Zdjęcie na stronie okładki Krzysztof Szymoniak. Portret autora na IV stronie okładki Ulla Montan. Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 117. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 108.

PROZA

Charles Bukowski, *Historie o zwykłym szaleństwie*. Przetłumaczył Michał Przybysz. Noir sur Blanc, Warszawa 2055, s. 292.

Peter Carey, *Amnezja*. Przetłumaczył Bohdan Maliborski. Projekt graficzny okładki Faber. Opracowanie okładki Janusz Staszczuk. Wielka Litera, Warszawa 2015, s. 340.

Dario Fo, *Córka papieża*. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Zdjęcie na stronie okładki luxorphoto/ Shutterstock. Ilustracje i obrazy wewnątrz książki Dario Fo we współpracy z Jessicą Borroni i Michellą Casiere. Znak Horyzont, Kraków 2015, s. 318.

Paweł Goźliński, *Dziady*. Projekt okładki Fajne Chłopaki. Projekt typograficzny Robert Oleś/dad.pl. Biblioteka Gazety Wyborczej. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec, Warszawa 2015, s. 456.

Stefan Hertmans, *Wojna i terpentyna*. Przetłumaczyła Alicja Oczko. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne Anna Pol. Zdjęcie na okładce Stephan Vanfleteren. Zdjęcie autora Michiel Hendryckx. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, s. 416.

Nick Hornby, *Funny Girl*. Przetłumaczyła Magdalena Koziej. Projekt graficzny okładki Superfantastic. Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz S.C., Warszawa 2015, s. 416.

Jarosław Jakubowski, *Rzeka zbrodni*. Projekt okładki, projekt typograficzny Grzegorz Kalisiak. Zyski S-ka Wydawnictwo, Poznań 2015, s. 396.

Ben Kane, *Srebrny orzeł*. Przetłumaczył Arkadiusz Romanek. Projekt okładki Adam Pietrzyk. Ilustracja na i stronie okładki Steye Stome. Ilustracje wewnątrz książki Adam Pietrzyk. Znak Horyzont, Kraków 2015, s. 606.

Daniel Keyes, *Człowiek o 24 twarzach*. Przetłumaczyła Anna Bartkiewicz. Projekt graficzny okładki Justyna Boguś. Zdjęcie na okładce SensorSpot / Gettyimages. Wielka Litera, Warszawa 2015, s. 560.

Hubert Klimko-Dobrzaniecki, *Samotność*. Projekt okładki Witold Sieniaszkiewicz. Fotografia na okładce Roy Botterell/Corbis. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2015, s. 160.

Karl Oye Knausgard, *Moja walka*. Księga trzecia. Przetłumaczyła Iwona Zinnicka. Projekt okładki i stron tytułowych Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2055, s. 544.

Włodzimierz Kowalewski, *Excentrycy*. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne Anna Pol. Zdjęcie autora Tomasz Grabowski. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, s. 322.

Katarzyna Krenz, Julita Bielak, *Księżyc myśliwych*. Projekt okładki Jan Krzysztofiafiak. Fotografia na I stronie okładki Bruno Ehrsl/ Corbis. Fotografia Księżyc umabatata/fotolia. Opracowanie typograficzne Irena Jagocha. Wydawnictwo Znak, Kraków 2015, s. so8.

Kazimierz Kummer, *Opowiadanie i słuchowiska*. *Klatka*. Opracowanie graficzne Rafał Rola, Tomasz Smolka. Na okładce wykorzystano Portret autorstwa Rafała Roli. Wydawnictwo Episteme, Lublin 2015, s. 512.

Jakub Małecki, *Dygot*. Opracowanie typograficzne Joanna Pelc. Okładka Paweł Szczepaniak. Fotografia na okładce gromovataya / fotolia.com Fotografia autora Tomasz Pluta. Wydawnictwo SQN, Kraków 2015, s. 320.

Haruki Murakami, *Mężczyźni bez kobiet*. Przetłumaczyła Anna ZielińskaElliott. Projekt okładki Karolina

Michałowska-Filipowicz. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2015, s. 320.

Joyce Carol Oates, *Walec Pik*. Przetłumaczyła Agnieszka Walulik. Projekt okładki i stron tytułowych Tomasz Majewski. Zdjęcie na stronie okładki Mads Perch /StonelGettyimages. Wydawnictwo WA.B., Warszawa 2015, s. 288.

Maciej Płaza, *Skoruń*. Projekt okładki i stron tytułowych Krzysztof Rychter. Seria Archipelagi. Wydawnictwo WA.B., Warszawa 2015, s. 352.

Jan Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Opracowanie François Rosset, Dominique Triaire. Nowe tłumaczenie ostatniej wersji autorskiej z 1810 roku Anna Wasilewska. Opracowanie graficzne, kolaże na okładce i stronach tytułowych Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015, s. 784.

Andrzeja Stasiuk, *Kucając*. Projekt okładki Robert Oleś / dad.pl. Ilustracje wewnątrz tomu Kamil Targosz. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, s. 128.

Sabina Waszut, *Rozdroża*. Projekt okładki Katarzyna Konior. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2015, s. 320.

Michał Witkowski, *Fynf und cfancyś*. Projekt okładki Magda Kuc. Fotografia na stronie okładki Tom Nulens/E+/Getty Images. Znak Literanova, Kraków 2015, s. 318.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

George Best, współautor **Roy Collins**, *Najlepszy*. Przetłumaczył Robert Filipowski. Opracowanie typograficzne Michał Wachula. Okładka Paweł Szczepaniak I BookOne.pl. Fotografia na stronie okładki Colorsport / Cobis I Proimedia. Fotografia na stronie okładki Popperfoto / Getty Images. Ilustracja na drugiej stronie książki. Agnieszka Szot. Wydawnictwo SQN, Kraków 2015, s. 384.

Łukasz Białkowski, *Nieszczere pole. Szkice o sztuce*. Projekt graficzny i projekt okładki Anna Zabdyrska. Biblioteka „Opcji”, tom za. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2015, s. 170.

Ewa Bienkowska, *Historie florenckie. Sztuka i polityka*. Fotografia na okładce Kościół Santa Croce we Florencji, 1966. Projekt graficzny i typograficzny Janusz Górski. Projekt okładki Elżbieta Tchorzniczka. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2015, s. 204.

Mason Currey, *Codziennie rytuały. Jak pracują wielkie umysły*. Przetłumaczyła Agata Napiórkowska. Projekt okładki i stron tytułowych Ryszard Bienert. Wydawnictwo WA.B., Warszawa 2015, s. 288.

Krzysztof Dubiński, *Wojna Witkacego, czyli kumból w galifetach*. Opracowanie graficzne Andrzej Barecki. Na obwolucie wykorzystano reprodukcję rysunku Stanisława Ignacego Witkiewicza *Autoportret samowarem*, 1917. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2015, s. 312.

[ad]

Córy II wojny światowej

(Dokończenie ze strony 12)

Każdego wieczoru kobiety przyjmowały średnio ośmiu mężczyzn. Pomimo tego, że starano się dbać o warunki higieniczne, choroby weneryczne nie były rzadkością. Co ważne nie do końca jasny jest problem antykoncepcji. Bywało przypadki, kiedy kobiety zachodziły w ciążę, po czym dokonywano przymusowej aborcji. Być może gdzieś tam praktykowano zabiegi jeszcze przed przystąpieniem do pracy. Tak można wnioskować z relacji Zofii Bator-Stępień (nr obozowy 37255) byłej więźniarki Auschwitz-Birkenau.

Faktem jest, że kobiety perfidnie okłamywano. Ludzono je wizją przywilejów, a nawet wolności. Okłamywano je mówiąc, że w zamian za to zostaną zwolnione, co jednak nigdy nie nastąpiło. Nie odnotowano jednak żadnego przypadku, by jakakolwiek więźniarka opuściła obóz żywa, za to, że pracowała w domu publicznym. Jeszcze inną kwestię stanowił zwykły strach. Nikt nie chciał umierać w obozie. Sama możliwość życia nieco łatwiejszego, bez codziennych apeli i walki o podstawowe racje żywnościowe, były dla wielu kobiet silniejsze niż własne sumienie. Zgłaszały się, więc zarówno były prostytutki, jak i zwykle wystraszone dziewczęta. Niektóre tylko w ten sposób widziały szansę na przeżycie albo wręcz wyjście na wolność.

Z pewnością nie miały wpływ na to jak przestrzegano prostytuujące się więźniarki był fakt, co się z nimi działo, kiedy już się „zużyły” (to właśnie słowo często pada we wspomnieniach). W najlepszym przypadku wracały do swojego obozu do ciężkiej pracy. Bywały także sytuacje, kiedy po kilku miesiącach dobrze wykonywanej pracy, przydzielano im stanowiska więźniów funkcyjnych.

Jeżeli można je z czymś porównać, to chyba tylko z pracą na taśmie w fabryce. Przed drzwiami pokojów ustawiali się w kolejkach więźniowie. Rozlegał się dzwonek – pierwszy szereg wchodził do środka. Mężczyźni zdejmowali spodnie i robili swoje. Po kwadransie rozlegał się kolejny dzwonek, mężczyźni wciągali spodnie i wychodzili na zewnątrz. Do wejścia szedł kolejny szereg.

Jak podkreślają historycy, w całym przedsięwzięciu chodziło nie tylko o zwiększenie wydajności pracy więźniów, ale także o przeciwdziałanie homoseksualizmowi, który szerzył się wśród więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych.

Mimo że siedemdziesiąt lat po wojnie niektóre panie nadal decydują się na taki los w swoich własnych domowych obozach zagłady, by przetrwać w dżungli życia i nakarmić swoje

dzieci. Wtedy prostytutki ludziły się, że po wzorowo wykonanej służbie odzyskają wolność. Czy dzisiejsze kobiety uprawiając najstarszy zawód świata z wyboru, bądź te, które gwałcone są przez własnych mężów także się ludzą?

Magdalena Kapuścińska

Co słysząc?

(Dokończenie ze strony 13)

Czy potrafimy zachęcić, wszczepić bakcyła nawyku obcowania z dziełem literackim, podsunąć odpowiednią lekturę, która zainteresuje, zatrzyma na dłużej...

Może za mało w nas charyzmy, może jesteśmy „niestrawni”, nie potrafimy schwytać w sidła odbiorców, chociażby na ten czas bezpośredniego kontaktu, jeśli oni już zdecydowali się przyjść na spotkanie... Czy nie jest tak, że często myślimy (nie wszyscy, oczywiście!) tylko o sobie, o tym czy dobrze wypadniemy, czy wszystko odbyło się według zamierzonego scenariusza... Może nie posiadamy w sobie i w swoich dziełach, wypowiedziach, przejrystości czy pewnego rodzaju „prostoty” przekazu i staje się on nieklarowny, niestrawny, odbija się czkawką. Bo dzisiejszy, zwłaszcza młody czytelnik jest niecierpliwy, nie chce tracić czasu na drażnienie, dociekanie, docieranie do sedna, do pestki, chyba że studiuje filozofię i, nie obrażając filozofów, zwłaszcza poetów filozofów, tym samym jest nieco inny (w pozytywnym tego słowa znaczeniu), inny niż inni (czyt. bardziej cierpliwym, wnikliwym). Może posłużyć się przy tej okazji pewną scenką, której byłam świadkiem w krakowskim Muzeum Narodowym po zakończeniu wykładu w Sali „U Samurajów”. Dwie panie wymieniają uwagi. Jedna z nich mówi: *...ależ nudził, sama lepiej bym to zrobiła. Jak można tak zawile mówić, cedzić ...Dość, że czytał i nie miał kontaktu wzrokowego, to mamrotał coś pod nosem i tak przyspieszał, jakby miał spóźnić się na samolot do Chin. Nie usprawiedliwia go ani młodość, ani dyplomy renomowanej uczelni, której nie tak dawno mury opuścił.*

Zatem co? W czym tkwi ta niestrawność? W tekście, czy też na żywo wygłaszanym wykładzie? Czy to ma być „sztuka dla sztuki”? Trzeba by się nad tym pochylić. Rozważyć. Naturalnie, wykład wygłaszany na konferencji czy naukowym sympozjum dla wybranej, przygotowanej grupy odbiorców musi różnić się od przekazu skierowanego w stronę przeciętnego słuchacza.

Myślę, że problem dotyczy także organizacji i przebiegu spotkań autorskich. Nierzadko bowiem zdarza się, iż zarówno prowadzący, jak i sami autorzy zapominają o zegarach. Tkwia w

przekonaniu, że należy powiedzieć jak najwięcej, zagając jak najdłużej, choćby niezupełnie na temat, czytać wiersz za wierszem, aż do ostatniej strony. Aż do (przepraszam) „zaziewania”, do dyskretnego lub orestacyjnego opuszczania krzesel przez uczestników wydarzenia, czego bohaterowie sceny starają się nie dostrzegać. Pół biedy, jeśli spotkanie odbywa się w ciekawym miejscu, gdzie ze ścian patrzają obrazy, fotografie, czy inne rekwizyty, na których można „zawiesić” znużone oko i jeśli wieczór ilustruje wartościowa muzyka, ciekawa piosenka z tekstem. Ale też w przyzwoitej proporcji. Jeśli jednak posilamy się w nadmiarze słowem, okraszając je gęsto przerywnikiem muzycznym, mózg odmawia percepcji. Gubi się sens. Zamiast przyjemności, słuchacz odczuwa znużenie. Jednym słowem, przestaje reagować. Wynosi z wieczoru – chaos. Nawet lampka wina nie potrafi ożywić merytorycznych dyskusji. Bo autor czy prowadzący przedobrzył, przerecytował, pozbawił niedosytu, tak bardzo istotnego, zwłaszcza w odbiorze poezji.

Broń Boże, nie chcę tu uogólniać i nikogo urazić, bo nie o to przecież chodzi. Wiemy wszak, że nie wszystkie wieczory autorskie są przegadane i ciągną się kilometrami. Mogłabym przywołać multum wartościowych spotkań, gdzie w wypełnionej po brzegi sali można było usłyszeć lot myśli. Gdzie wszystko było wyważone. Wyartykułowane. Na wysokim C. Spotkań, po których mając dużo do powiedzenia, niekiedy się milczy, aby zatrzymać w sobie jak najdłużej: doznanie i uznanie. Ale, żeby wiersz (skupię się tylko na wierszu) pozostał w nas na dłużej, musi spełniać też pewne wymogi. I tu przywołam doskonały „Dekalog dobrego wiersza” autorstwa Leszka Żulińskiego:

Dekalog dobrego wiersza

1. Wiersz jest wytworem rzemiosła językowego;
2. Wiersz powinien być nowatorski;
3. Wiersz dąży do odkrywczosci; gardzi banałem;
4. Wiersz powinien być autentyczny i wiarygodny;
5. Wiersz sżybuje na dwóch skrzydłach – emocjonalizmu i intelektualizmu;
6. Wiersz dąży do szlachetnej prostoty;
7. Wiersz dąży do lakoniczności;
8. Wiersz niechaj będzie niedosłowny, „niedomówiony” i otwarty;
9. Wiersz rodzi się z pychy i z... pokory;
10. Ojcem i matką wiersza jest natchnienie.

I podążając za owymi przykazaniami, życzę wszystkim piszącym najlepszych wierszy, udanych spotkań autorskich, kompetentnych pytań ze strony słuchających i, by uczestnicy nie zadawali nam, jak to zrobił pewien wybitny polski dramaturg na spotkaniu z Durrenmattem, pytań: „co słysząc?”

Irena Kaczmarczyk

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.